Nr. 37 (474). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 10 września 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 32 stron. Rok X

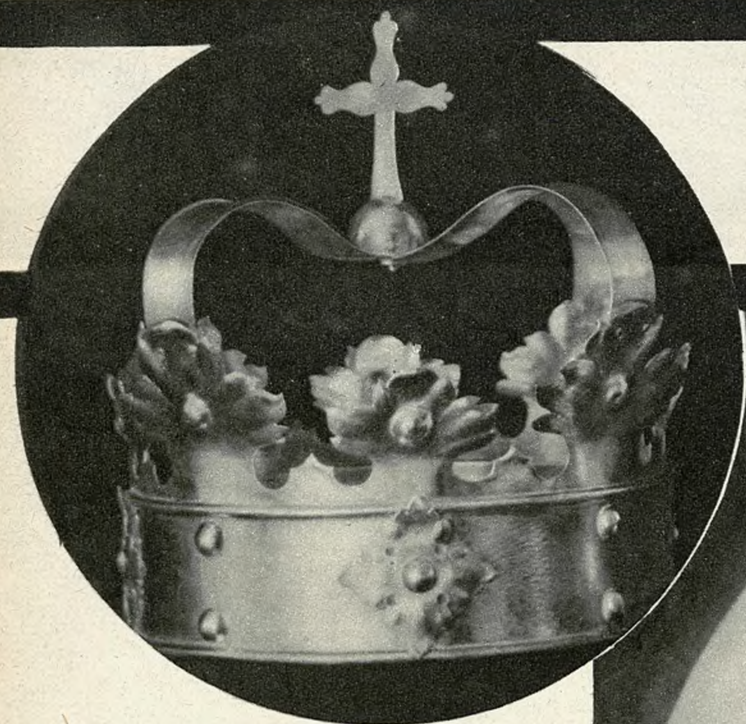
ŚWIATOWID

GDY SOBIESKI WRACAŁ Z POD WIEDNIA



Na Podhalu utrzymuje się tradycja, że Sobieski, wracając z pod Wiednia przez Węgry drogą na Lubowlę i Czorsztyn, zatrzym się we Frydmanie, gdzie złożyli mu hołd zbójnicy tatrzańscy, namawiając króla, aby wyprawił się z nimi na kasztele. Wyraz tej tradycji jest nowela znanego pisarza podhalańskiego Gwiżdża, potrącająca o ten temat. MALOWAŁ JAN SZANC

WIELKI DZIEŃ KRAKOWA.



Korona Stefana Batorego.



Sarkofag Stefana Batorego w krypcie królewskiej na Wawelu.

Wszystkie zdjęcia Agencji fot. „Światowid".



Korona Anny Jagiellonki, żony Stefana Batorego.

Właściwą uroczystość 400-lecia Stefana Batorego naród polski obchodzić będzie dopiero w najbliższym czasie. Ale wstępem do tych uroczystości, wstępem o charakterze bardzo podniosłym był dzień 31 sierpnia, kiedy do Krakowa dla złożenia hołdu Wielkiemu Królowi przybył p. Prezydent Rzplitej oraz reprezentacyjna wycieczka społeczeństwa węgierskiego z J. Em. kardynałem prymasem Seredi i J. E. ministrem Kallayem na czele. Pragnienie Węgrów, by u sarkofagu Stefana Batorego złożyć dowód nietylko niewygasłej czci dla Niego, lecz zarazem i niezmiennie serdecznych uczuć dla narodu polskiego, a uczynić to nie w ramach ogólnej uroczystości, lecz osobno — to pragnienie jest zrozumiałe. Żaden naród, poza Polską, tak silnie nie jest związany ze Stefanem Batorym, jak Węgry. Wszak, zanim Polska powołała Batorego na tron, był on księciem Siedmiogrodzkim, a i później, przejąwszy się, jak mało który monarcha polski, swą wielką misją państwowości polskiej, nigdy nie zapominał o swem węgierskiem pochodzeniu. To jedno. Obok tego zaś zrozumiałem jest pragnienie Węgrów zaznaczenia, że przyjaźń polsko-węgierska, której tyle dowodów dostarczają dzieje dawniejsze, trwa w całej pełni i dzisiaj, niezależnie od wszelkich fluktuacyj politycznych po jednej, czy po drugiej stronie. Te pragnienia znalazły oddźwięk w społeczeństwie polskiem, a specjalnie krakowskiem, gdzie nietylko w grobach królewskich na Wawelu spoczywają śmiertelne szczątki Wielkiego Króla, ale i do dziś dnia żywą jest przyjaźń, łącząca oba narody. Szereg uroczystości, uświetnionych obecnością p. Prezydenta Rzplitej, dowiódł tego niezbicie. Brały w nich udział nietylko sfery oficjalne, reprezentowane w tym dniu w Krakowie, obok miejscowych przedstawicieli władzy państwowej, przez przybyłych umyślnie pp. min. Nakoniecznikoff-Klukowskiego i wicem. hr. Szembeka, uczestniczyły we wszystkich aktach hołdu dla Batorego i we wszystkich owacjach dla węgierskich goście najszersze sfery społeczeństwa krakowskiego. Przejeżdżających przez ulice Krakowa Węgrów witały tłumy Krakowian okrzykiem: „Eljen Magyarorsag", w przemówieniu na akademji w Teatrze miejskim, wygłoszonem przez prof. U. J. dr. J. Dąbrowskiego, piękna mowa węgierska poraz pierwszy w takiem otoczeniu zabrzmiała, na wspaniałym raucie, przez p. Prezydenta Rzplitej wydanym w apartamentach Zamku królewskiego na Wawelu, powszechną uwagę zwracała purpura kardynalska ks. prymasa Seredi, fjolety prałatowskie b. min. dr. Ernsta i barwne historyczne stroje węgierskie. Poza wszelkiemi akcentami politycznemi, które jedna i druga strona zgóry z tej manifestacji wykluczała, treścią ideową tego pięknego dnia polsko-węgierskiego w Krakowie było poczucie wspólności duchowej dwóch narodów, reprezentujących kulturę łacińskiego Zachodu, posiadających wiele jednakowych cech w charakterze narodowym, wśród nich zaś przedewszystkiem rycerskość, o której świadczą nietylko wspólne boje, ale i wspólna praca cywilizacyjna. Skąpo niestety wymierzony czas, wolny od przyjęć, pozwolił gościom węgierskim, wśród których byli przedstawiciele zarówno starszego, jak i młodszego pokolenia, poznać najciekawsze zabytki sztuki i kultury starego Krakowa. I to także niewątpliwie pozostawiło trwałe ślady w duszach gości węgierskich. Z Krakowa pojechali oni do Warszawy, aby tutaj złożyć pokłon Marszałkowi Piłsudskiemu. Dobrze się stało, że do stolicy jechali pod wrażeniem serdecznych uczuć, nierozerwalnie oba narody łączących.



P. Prezydent Rzpltej w loży Teatru im. Słowackiego w Krakowie słucha, stojąc, Hymnu Narodowego. Obok p. Prezydenta (po lewej) p. min. rolnictwa Nakoniecznikoff-Klukowski i (po prawej) wojewoda dr. Kwaśniewski.



J. Em. Prymas Królestwa Węgier kardynał Seredi, który gościł w Polsce wraz z delegacją węgierską.



Węgierski minister rolnictwa p. Kallay (po lewej), przechodzący wśród szpaleru skautek i skautów na Wawelu.



Minister Kallay w loży honorowej teatru krakowskiego, w towarzystwie prezydenta m. Krakowa dra Kaplickiego (drugi od lewej). Minister Kallay pochodzi po kądzieli od Batorych.

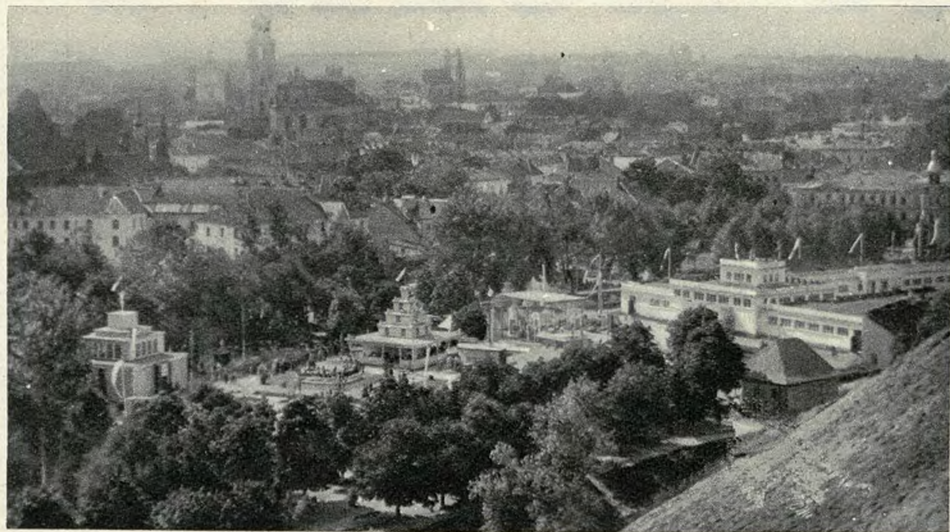
12. WRZEŚNIA 1683. 12. WRZEŚNIA 1933.



KRÓL JAN SOBIESKI NA CZELE HUSARJI POD WIEDNIEM.

Obraz Bacciarellego, własność Muzeum Narodowego w Krakowie.

WILNO POD ZNAKIEM LNU.



We Wilnie otwarto wystawę lniarską, która cieszy się olbrzymiem powodzeniem.
Fot. Siemaszko, Wilno.



Prząśniczka z okolic Wormian (wojew. wileńskie).

W walce z maszynami warsztat tkacki i kołowrotek traciły pozycję za pozycją.

A równocześnie na innem polu rozgrywała się tragedja lnu: nie wytrzymywał len konkurencji bawełny. Ten stan rzeczy trwał aż do wybuchu kryzysu.

Aż przyszedł okres, w którym runął, zdaje się ustalony porządek gospodarki światowej, ucichły Diesle i turbiny, zgasły ogniska fabryczne, państwa na wyścigi zamykały granice dla obcego importu, idea samowystarczalności zyskiwała coraz więcej zwolenników i wtedy prząśniczki i tkaczki wyciągnęły zapomniane warstaty i nanowo zakwitły błękitne pola lnu.

W Polsce uprawa lnu skoncentrowała się na kresach wschodnich głównie w woj. Wileńskiem.

Od 30 roku dał się zauważyć gwałtowny spadek obszaru zajętego pod len.



Skup płótna przez Komitet Opieki nad wsią wileńską.



Gen. Lucjan Żeligowski, niestrudzony propagator lniarstwa.

szczyźnie świetnie zorganizował Komitet opieki nad wsią wil. z p. J. Prystorową na czele, tą czołową postacią awangardy lniarskiej.

Chodziło tu o wyrugowanie zbędnych pośredników, ciągnących największe zyski z pracy mozolnej wieśniaczek. To też skupy Komitetu cieszą się ogromnem zaufaniem we wszystkich punktach.

Wystawa lniarska, pięknie urządzona przez Tow. Lniarskie, daje obraz, jakie ogromne możliwości są użycia włókna lnu, jak trwałe są wyroby z tego surowca, jak piękne prosta wieśniaczka tka tkaniny kolorowe i jak nawet galanterja z materjałów lnianych jest pełną smaku.

Wojsko wystawiło swe eksponaty w osobnym pawilonie.

Nawoływał wprawdzie niestrudzenie gen. Żeligowski: „Ziemia nasza musi nas odziać", nie ustawało w pracy zasłużone Tow. Lniarskie we Wilnie z dyr. Maculewiczem i prof. Jagminem na czele, dopiero jednak zdecydowane posunięcia ówczesnego Szefa Rządu p. Prystora dały należyte stanowisko rodzimemu włóknu.

Jeżeli chodzi o realizację zamierzeń rządu to mistrzowsko wykonał je Szef Adm. Armji gen. Składkowski przy współpracy Szefa Dep. Int. płk. Masnego, gdyż w ciągu trzech lat, tak dalece wprowadził do użytku w armji tkaniny i płótno lniane, że prawie w tej dziedzinie nic już do zrobienia nie pozostało.

Zamówienia dla armji w znacznej części uskuteczniły Bazary Przemysłu Ludowego w Wilnie, Nowogródku, Białymstoku i Brześciu, te pożyteczne nad wyraz placówki społeczne.

Zaś skupy na Wileń-



Prezes Towarzystwa Lniarskiego w Wilnie dyr. Ludwik Maculewicz w ubraniu, które zostało odznaczone I-szą nagrodą na konkursie urządzonym na podwieczorku lniarskim.



Z okazji otwarcia Targów Lniarskich bawił w Wilnie p. premjer Jędrzejewicz i prezes BBWR. Sławek. Udali się oni w odwiedziny do b. premjera Prystora w Borkach. Fotografowi naszemu udało się zrobić zdjęcie trzech premjerów: (od lewej) pp. Sławka, Prystora i Jędrzejewicza.

Urządzony w ubiegłym tygodniu ogólnopolski zjazd lniarski w Wilnie a obesłany nader licznie, świadczył dobitnie, jak popularnem w społeczeństwie naszem stało się hasło „Wszystko ze lnu".

Ważnym wkońcu wydarzeniem dla pomyślności akcji lniarskiej jest nabycie własnej siedziby przez Tow. Lniarskie we Wilnie i urządzenie w niej wzorowych pracowni i laboratorjów.

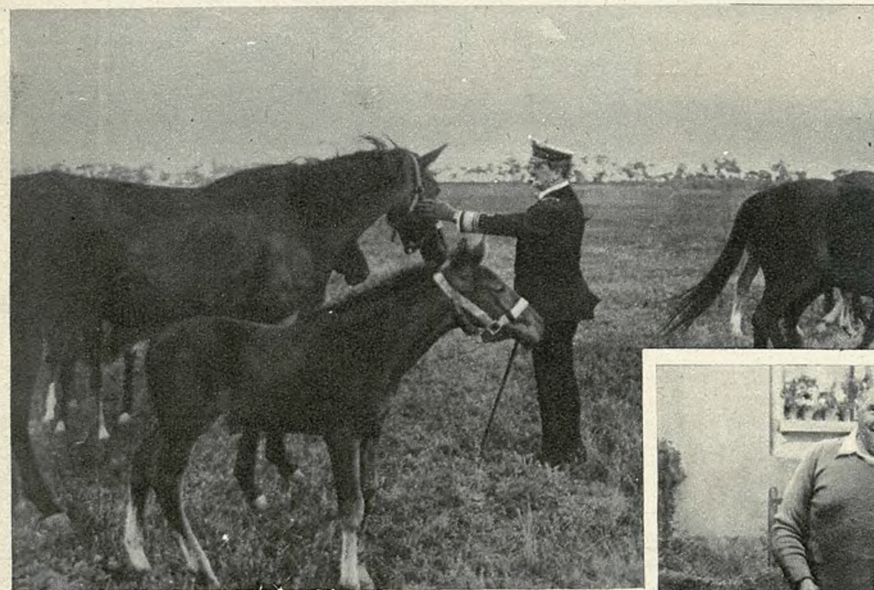
To też poświęcenie tej placówki zgromadziło szereg osobistości z b. premjerem Prystorem na czele.

CENNY DAR DLA P. PREZYDENTA RZPLTEJ



Firma Jakób Gross w Krakowie ofiarowała dla apartamentów p. Prezydenta Rzpltej na Wawelu, z okazji Jego pobytu na uroczystościach ku czci Stefana Batorego kryształową żardynierę z ręcznie grawirowanym orłem polskim, wyroku fabryki „Kryształy Cieszyn"" w Cieszynie polskim.

SPACER PO ŚWIECIE.



ADMIRAŁ WŚRÓD KONI. Regent królestwa Węgier, admirał Horthy, często udaje się do stadniny w Kenderes (na zdjęciu), aby przypatrzeć się swoim konikom i zaczerpnąć świeżego powietrza. Konie węgierskie mają z dawien dawna świetną reputację, jako doskonałe wierzchowce, wysoko cenione w całej Europie.



BRAWO GRUBASKA. 29 sierpnia b. r. udało się młodej Angielce miss Sunny Lowry przepłynąć kanał La Manche w ciągu 15 i 3/4 godziny. Miss Lowry odznacza się atletyczną budową ciała, podobnie, zresztą, jak jej mamusia. Wiele waży, trudno zgadnąć, a niedyskretnie byłoby się zapytać.

The New York Times.



ŚMIERĆ ZNAKOMITEGO LOTNIKA. Dnia 29 sierpnia b. r. odbył się pogrzeb tragicznie zmarłego lotnika niemieckiego Possa, który zabił się zawadziwszy skrzydłem samolotu o wieżę kościelną w czasie lotu okrężnego dookoła Niemiec. Poss, który w czasie ostatniego chellenge'u stale deptał po piętach ś. p. Żwirce, jako jeden z pierwszych złożył mu gratulacje. Na zdjęciu żona Possa, idąca za trumną. Prowadzi ją pod rękę kronprinz Wilhelm.



EGZOTYCZNY GOŚĆ W PARYŻU. Do Francji przybył sułtan Marokku, Mohamed Ben Youssef i złożył wizytę prezydentowi Rzeczypospolitej. Na zdjęciu widzimy sułtana, opuszczającego pałac Elizejski w towarzystwie szefa protokołu Mammery i pułkownika Brosse.

Wide—World Photos.



CHOROBA DYPLOMATY. Lord Grey of Falldon, który na początku wojny światowej był angielskim ministrem spraw zagranicznych ciężko zaniemógł. Sędziwy pacjent już dawno usunął się z życia politycznego, do czego zmusiła go choroba oczu. Lord Grey należy do najznakomitszych rybaków sportowców i jest autorem wspaniałego dzieła p. t. „Fly Fishing", które doczekało się kilku wydań.

Keystone.



TEN MA SZCZĘŚCIE. Niejaki M. Henry Carpe kupił w Paryżu przed kilku tygodniami na tandecie, stary obraz za 20 franków. Po bliższem zbadaniu przez ekspertów okazało się, że jest to oryginalny Rembrandt, który znajdował się w 1692 r. w kolekcji Van Erpecum i jest wymieniony w katalogu dzieł Rembrandta z r. 1856, jako „Le Canal des Patineurs". Obraz ten szacują na krocie.

Wide-World Photos, Paris.

TAM, GDZIE DWA SERCA PRZESTAŁY BIĆ.

Cierlicko Dolne..

Jakąż wymowę posiadają te dwa słowa, składające się na tragiczną nazwę małej osady, o której czyżby Polska wiedziała, gdyby nie to, że w niej dwa wielkie polskie serca tak nagle bić przestały?

Żwirko i Wigura...

Te dwa nazwiska przybyły do relikwijnej księgi z nazwiskami bohaterów, z których każde wymawia się w skupieniu i z czcią. Ci dwaj zwycięzcy, którzy na oczach świata tak wspaniale startowali ku Sławie i tak zaszczytnie jej dosięgnęli, dwaj lotnicy tak prości, tak serdeczni, tak cisi, którzy tak niespodzianie wspięli się nagle na najwspanialsze wyżyny zwycięstwa skrzydlatego — i nagle, w dwa tygodnie po dniu, który na całym świecie powtarzał ich nazwiska, padli strzaskani przez wicher i burzę, łamiąc cierlickie sosny i krwią swoją pieczętując twardą ziemię, od której jakże wysoko ulecieli w swem życiu...

Oto rok właśnie mija od tego ponurego dnia, gdy po całej Polsce runęła wiadomość, w którą nikt nie chciał wierzyć:

— Żwirko i Wigura zabici!

To wydawało się niemożliwe. Nikt w to nie wierzył, póki nie przyszły dokładne wiadomości, opisujące tragedję. Jakto? Ci dwaj, tak wspaniali, tacy panowie powietrza i skrzydeł, ptaki dumne i zwycięskie, niezwalczone — nagle objęci śmiercią? Na szczycie triumfu dosięgło ich jej czarne skrzydło? Zasłonił ich jej cień niezwyciężony?

Cała Polska wtedy w owem Cierlicku Dolnem skupiła się myślą i łzami — przez całą Polskę przewiała krepa ich trumien, przez całą szedł ich pogrzeb.

A dzisiaj rocznica. Przez ten rok na chwilę nazwiska te dwa nie zeszły z warg, nie zeszły z serc polskich. Organizowano zbiórki na fundusze ich imienia, na dzwon dla nich, na sierotę po zwycięskim kapitanie, na pomnik...

Żwirko i Wigura — te słowa stały się wykładnikiem dumy naszej i smutku naszego.

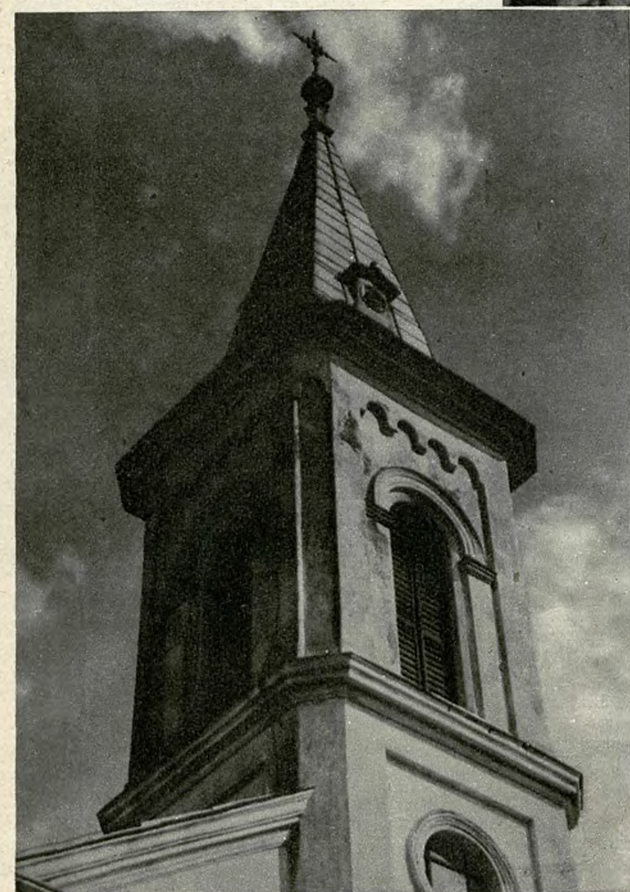
Czekaliśmy na tę rocznicę. Nadeszła. Rozwiną się uroczystości żałobne w Cierlicku Dolnem. Przybędą z całej Polski, by być ich świadkami.

Będzie to hołd niezgasłej pamięci, nie pierwszy impuls po tragicznym ciosie, lecz gorąca i skupiona żałoba po roku, który wcale nie przysypał czasem minionym wciąż świeżej rany.

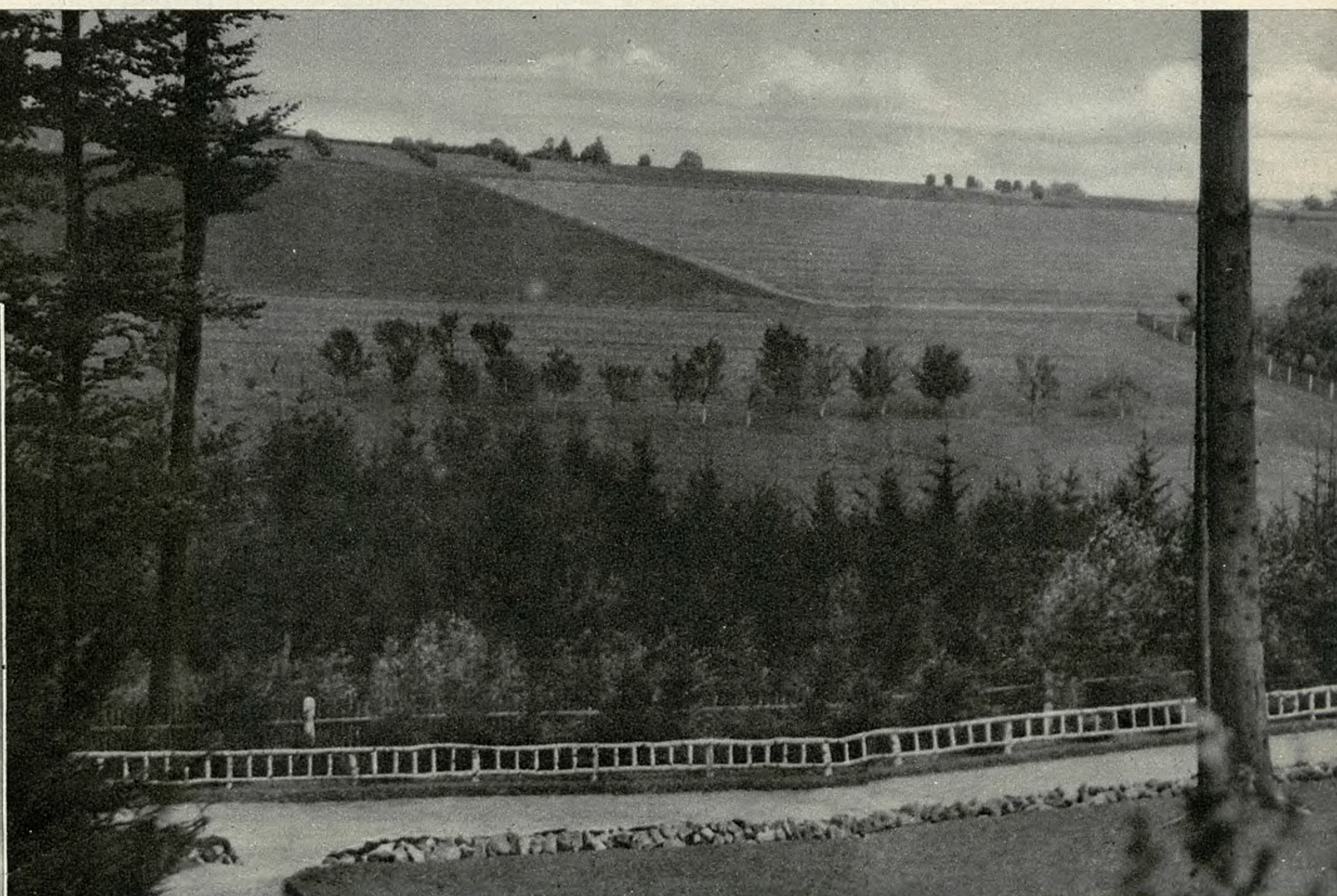
A gdy dzwon Żwirki i Wigury, ulany z darów społeczeństwa polskiego, zawiśnie na wieży kościoła cierlickiego, gdy pierwszy raz uderzy serce jego jak serce całego narodu — wtedy ujrzymy ich znów przed oczyma duszy: tych młodych dwu, tych promiennych uśmiechem, tych dwu zwycięzców skoszonych tak niewcześnie i tak zawistnie przez bezlitosny, ślepy los.

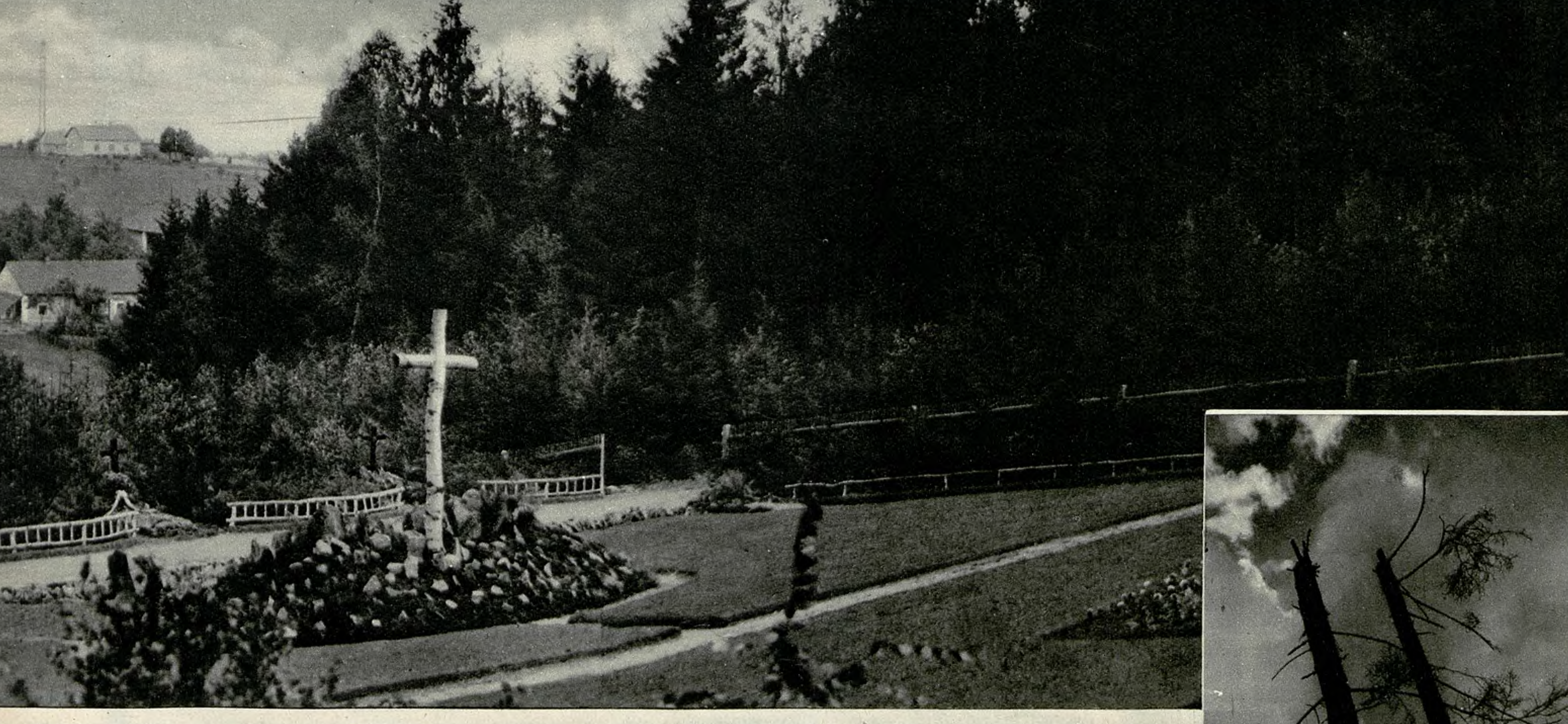
Ujrzymy ich znów w kadłubie srebrzystoczerwonego ptaka, który cień rzucał nad Europą, przepruwając powietrze — pierwszy. Nie mogły ich ocalić serca nasze tak wdzięczne — niechże dzisiaj serca nasze zamkną obraz ich serdeczny, uśmiech ich, młodość promienną, triumf i czarną śmierć — i niech biją jak dzwon cierlicki im na wieczne pamiętanie.

W. Z.



Wieża kościelna w Cierlicku, na której ma zawisnąć dzwon, ufundowany przez naród polski ku czci bohaterskich lotników.





Ogólny widok miejsca katastrofy w Cierlicku Dolnem. — W środku krzyż brzozowy obok ściętych przez spadający samolot sosen (na lewo). Tu leżał strzaskany samolot RWD 6. W głębi symboliczne mogiłki w miejscach, gdzie znaleziono zwłoki śp. Żwirki i Wigury.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".



Maszty śmierci. Drzewa, o które rozbił się aparat.

DOŻYNKI W SPALE.



P. Prezydent Rzpltej przyjmuje życzenia na dożynkach w Spale. *Ag. Fot. „Światowida".*

Zgodnie z przewidywaniami dożynki zaczęły się z deszczem. Tradycyjnie zresztą, gdyż dotychczas wszystkie dożynki w Spale odbywały się na mokro. Do letniej rezydencji Pana Prezydenta zjechało ludu co niemiara. Niemało stąd miał kłopotu komitet dożynkowy, który przygotował się na przyjęcie 15 tysięcy osób zgórą. Tymczasem przybyło o 10 tysięcy więcej. To też noc z soboty na niedzielę część gości spędziła na czuwaniu i zabawie. Tych, którym udało się zdobyć kawałek łóżka, tapczanu czy otomany, zbudziły bardzo wczesnym rankiem dźwięki orkiestr i kapel wiejskich, które bądźto wprawiały się do niedzielnych dożynkowych występów, bądteż przygrywały od ucha dla zabawy czuwających.

* * *

Ranek niedzielny był ponury i dżdżysty. Już o piątej można było zobaczyć przeciągające drogami parku malownicze grupy regjonalne z kapelami, z wieńcami. Nie wszystkie wiochny były 100% wiejskie, gdyż tu i ówdzie zdarzały się ondulowane główki, regulowane rzęsy. Tu i ówdzie można było dostrzec w krzaczkach malowniczą łowiczankę poprawiającą sobie usta, lub przysypującą nosek pudrem. Ale to było bardzo rzadkie. Prawie niedostrzegalne.

Przeciągały więc szeregi krasnych wiochen z kieleckiego w swych ślicznych pasiakach, chłopi z opoczyńskiego w białych sukmanach czarną taśmą lamowanych. Przedstawicielki Żywca w cudownych koronkowych strojach, bamberki poznańskie z dziwacznemi ozdobami głów, roiło się w lesie od białych sukman krakowiaków, których bodajże najwięcej przybyło, i którzy szczególnym odznaczali się humorem i werwą urodziwe krakowianki, u których niewiadomo co bardziej podziwiać czy *śliczne* buziaki, czy grające tęczą barw kostjumy, piękne reprezentantki Mazowsza, Łowicza i tyle tyle innych zapełniało od wczesnego ranka park spalski.

* * *

Ze szczególnem uznaniem podnieść należy niezwykle efektowne wieńce, świadczące o dużym smaku i polocie artystycznym wykonawców. — Np. wieniec z Krosna był swego rodzaju arcydziełem. Olbrzymi bo do 2 i pół metra sięgający, przedstawiał chatę wiejską, wykonaną ze słomy i kłosów. Domek ten, wykonany z niezwykłą precyzją otaczał rodzaj łuku triumfalnego, również z kłosów, na którym siedział orzeł z rozpiętemi do lotu skrzydłami, również ze zboża wykonany. Wieniec ten niosły cztery wiochny w błękitno-białych strojach krośniańskich.

Drugie arcydzieło — to portert Prezydenta ułożony z ziaren słonecznikowych. Wieniec ten składali reprezentanci woj. lwowskiego. Piękny był także wieniec z Ropczyc, wyobrażający w obramowaniu z kłosów portrety Prezydenta i Marszałka, wykonane z białego, popielatego i czarnego maku. Niesposób wyliczać setki innych arcydzieł, świadczących o wybitnym smaku artystycznym i guście ludu wiejskiego.

* * *

Po nabożeństwie, które z powodu deszczu odbyło się w krytej hali sportowej, nastąpił drugi niezwykle malowniczy punkt programu. Korowód wszystkich okręgów przed pierwszym Gospodarzem Rzeczypospolitej. Olbrzymi, bo zgórą 20 tysięcy liczący pochód przeciągnął przed pałacykiem myśliwskim, gdzie na ganku w otoczeniu świty i dostojników państwowych stał Pan Prezydent.

Rozpoczęło się od zaprodukowania starodawnych zabaw ludowych, co poprzedził starosta dożynkowy, ubrany w efektowny, przez Stryjeńską projektowany strój — złożeniem przed pierwszym Gospodarzem snopu żyta. Rozległy się dźwięki kapeli i starosta rozsiewając zboże w cztery strony świata, zaśpiewał:

„Szust pszeniczka, jak rękawiczka, szust żytko jak korytko
„szust jęczmień, jak drzewa pień, szust tatarka, kiejby miarka..."

Potem ukazał się „turoń", nadciągnął gaik, kogutek oznajmił kolendowanie wielkanocne, sobótki świętojańskie wykonane w niezwykle piękny sposób, wreszcie żniwiarki wracające z pola wzięły Prezydenta-Gospodarza do środka i zaczęły tańczyć, przyśpiewując wesoło. Następnie przemaszerowały przed gankiem wszystkie grupy wieńcowe oraz delegacje. Przeszło 20.000-ny korowód przewijał się przed Dostojnym Gospodarzem. Pierwsi szli pomorzanie w sukmanach, w których przebijał kolor błękitny, dalej kaszubi w swoich rybackich kaftanach i kapturach z sieciami na plecach, kolejno godnie przesuwały się poszczególne grupy, każda ze swą kapelą i w przepięknym „postroju swej ziemi", poznaniacy w długich sukmanach granatowych, ślązacy-górnicy w czarnych strojach i z latarniami w rękach, wilnianie w samodziałach, przy dźwiękach cymbałów, szły grupy litewska i białoruska, dalej poleszucy, krakowiacy, sieradzanie, mazowszanie i inni

Korowód trwał półtorej godziny. Niebo na zmianę to się chmurzyło, to znowu radosnem, spoglądało słońcem, lub rosiło wszystkich rzęsistym deszczem. Nad tą całą rozbawioną i roześmianą a barwną i malowniczą rzeszą raz po raz przelatywała eskadra samolotów. Bawili się wszyscy, biorąc przykład z Gospodarza, któremu radosny uśmiech nie schodził z dostojnej twarzy.

* * *

Po przerwie obiadowej poszliśmy na stadjon. Na pierwszy rzut oka widać, że pracowała tu Zofja Stryjeńska. Zarówno 12 bram, wyobrażających wrota do poszczególnych ziem Polski, jak i brama główna pięknie stylizowana, a wykonana z drzewa i słomy, jak również ganek, gdzie miał zasiąść Gospodarz Państwa, całość ta ogromnie przypominała kompozycje tej malarki.

Ogromny stadjon sportowy zamykało półkolem 12 bram, strzechą krytych, nad któremi widniały nazwy ziem polskich. W bramach tych stanęły delegacje i z chwilą, gdy Najwyższy Dostojnik zajął w otoczeniu barwnie ubranych gospodarzy i gospodyń oraz świty miejsce na „ganku" ruszyły z hołdem, składając u stóp jego wieńce zbożowe.

Starosta dożynkowy Motk, Kaszuba przemówił na wstępie w kaszubskiej gwarze, zapewniając Głowę Państwa o miłości synów morza względem Ojczyzny—Polski, i o gotowości oddania życia w jej obronie. Złożył następnie w ręce Gospodarza olbrzymi bochen chleba, którym Pan Prezydent dzielił się z żeńcami. Poczęstunek ten połączony z toastem, zakończył uroczystości na stadjonie, gdzie następnie rozpoczęły się tańce, zabawy.

* * *

Zdaje się, że niema na świecie drugiego państwa, gdzie wśród ludu zachowałaby się tak ogromna różnorodność strojów, taka ich malowniczość i bogactwo artystyczne. Ile ziem, tyle rodzajów stroju ludowego, a każdy rodzaj na tyle dzieli się odmian, że trzeba te cuda jednocześnie zobaczyć, by przekonać się jak piękna jest Polska ludowa. Patrząc na dożynki w Spole, zdaje się, że Gospodarz Państwa urządza te uroczystości żniwne, jakgdyby chcąc podtrzymać te piękne, barwne i malownicze stroje ludowe i uchronić je od zaginięcia.

* * *

Nie bez znaczenia był fakt, że Starostą dożynkowym był Kaszuba, zaś pierwszą Przodownicą— Ślązaczka. Śląsk i Morze to przecież najdroższe nasze ziemie.

B. Si.

Gdzie się znajduje prawdziwa Mona Lisa?

Przez całe setki lat Mona Lisa czarowała ludzkość swoim tajemniczym uśmieszkiem. Po raz ostatni miała kochanka w roku 1911. Uprowadził on ją z Muzeum Louvru, a cały świat wylewał za nią łzy serdeczne. W końcu odnaleziono jej ślad i niewierna wróciła do swego domu, do osobnego sanctuarium w Louvrze, gdzie od tego czasu można się z nią zobaczyć jedynie pod dyskretną, lecz bardzo ścisłą kontrolą.

Słynny uśmiech Mony Lisy zamienił się jednak w ostatnich dniach na pełny, szeroki, serdeczny śmiech. Oto niejaki Jack Dean, Anglik, który z dumą nazywa sam siebie „międzynarodowym złodziejem", twierdzi, że na krótko przed wojną on sam wykradł z Louvru Monę Lisę. To, co wisi obecnie w muzeum na jej miejscu, jest zwyczajną kopią, dobrze wprawdzie wykonaną, ale bezwartościową. Kradzieży dokonał Dean na rachunek i za pieniądze jednego z multimiljonerów amerykańskich, usuwając oryginał za wiedzą przekupionego jednego z zarządców i wieszając na jego miejscu (oryginału, nie zarządcy) wspomnianą kopję.

Ale to nie koniec jeszcze zuchwałych i rewelacyjnych oświadczeń Deana. Twierdzi on, że sprzedał jako oryginały równocześnie sześć kopij sześciu amerykańskim miljonerom (!), którzy jeszcze do dziś z dumą i pychą pokazują je swoim najbliższym, a dyskretnym przyjaciołom, jako najsławniejszy obraz świata. A kapitalną pointą całego oświadczenia Deana jest twierdzenie, że sam oryginał sprzedał za 30 tysięcy franków handlarzowi obrazów w Algierze, który kupował go w tem przekonaniu, że kupuje wyśmienicie wykonaną kopję.

Nie wiadomo jeszcze, ile jest prawdy w sensacyjnych rewelacjach Deana. Ale jeżeli rewelacje te są prawdziwe, to miljony ludzi przeżywało emocje najwyższej sztuki przed bezwartościowym falsyfikatem, setki profesorów uniwersytetu pisało całe bibljoteki o fałszerstwach obrazów, a to bezwartościowe płótno stało się punktem wyjścia dla kilku tuzinów teorji sztuki. Może te rewelacje międzynarodowego złodzieja przyczynią się do rewizji naszych pojęć na Sztukę (przez duże S) może przestaniemy czcić fetyszowato nazwiska twórców, niezawsze pewnych — a miarodajną stanie się tylko estetyczna wartość obrazu, oparta na wrażeniu, jakie na nas wywiera.

Konserwatorowie Louvru zatrzęśli się ze strachu, bo blamaż byłby przecież straszliwy. Nie posiadamy już prawdziwej Mony Lisy?! To zniszczy kompletnie światową sławę muzeum narodowego! Wymuszony słodko-gorzki uśmiech jaki „zakwitł" w tych dniach na ustach konserwatorów starał się być jeszcze bardziej tajemniczym, niż uśmiech Giocondy. Ogłosili natychmiast odpowiednie oświadczenia w prasie, że Jack Dean jest nietylko złodziejem, ale i kłamcą (coś tu jest nie w porządku, bo — jeżeli skłamał to nie ukradł, a jeżeli ukradł, to nie skłamał), że nie może być nawet mowy o ukradzeniu Mony Lisy, bo — niemożliwością było ukradzenie jej po raz drugi. I kropka.



„Mona Lisa" Leonarda da Vinci. *(Louvre).*

Natychmiast ukuto odpowiednie teorje, które miały wyjaśnić i umotywować szczególne oświadczenie Deana. Więc albo, że Dean miał jedynie zamiar w ogórkowym sezonie angielskiej kanikuły odświeżyć nudną atmosferę ultra sensacyjnemi twierdzeniami, — albo, że jest on mniej świetnym kawalarzem, a więcej wytrawnym i bezwzględnym człowiekiem interesu, który przez zademonstrowanie, że dowolny falsyfikat może wywołać te same efekty, co zapoznane wielkie dzieło sztuki, planował pewne spekulacje obrazami.

Pomimo pozornej pewności siebie, z jaką konserwatorzy Louvru ogłosili te obie teorje, nie zdają się zbytnio w nie wierzyć nawet oni sami. I dlatego proponują zakwestjonowany oryginał, który wisi w Louvrze, skonfrontować z drugim przypuszczalnym oryginałem, który kupił handlarz algierski, jako dobrą kopję. Ta propozycja ma być dowodem, jak pewni są swego dyrektorzy Louvru. Ale — istnieje właśnie jedno ale ,— ani tajemniczy handlarz algierski, ani jego obraz nie chcą rzecz prosta dać się odnaleźć.

Zwracają uwagę jeszcze na to, że Mona Lisa po tamtej, swego czasu dokonanej i wykrytej kradzieży, została bezsprzecznie i bezspornie uznana za oryginał. Od prawie trzydziestu lat sporządza się z każdego obrazu pewnego rodzaju metrykalne opisy, które składają w ręce najbardziej godnego zaufania notarjusza. Te metryki są to najdokładniejsze opisy danego obrazu, zawierające wszystkie najmniejsze drobiazgi i znaki szczególne danego obrazu, jak np. niedokładności w tkaninie płóciennej, najmniejsze rysy i plamy w farbach i t. d. Do tego dochodzą jeszcze powiększone fotografje tych wszystkich „znaków szczególnych". Konfrontacja obrazu z oficjalnym opisem, której dokonano w roku 1913 nie dopuszczała, według zdania fachowców z muzeum, najmniejszej wątpliwości w prawdziwość oryginału.

Jak się sprawa istotnie przedstawia, to dopiero przyszłość pokaże. Naturalnie, pokaże, jeżeli się zgłosi ów handlarz z Algieru. Jeżeli tego nie uczyni, to nie dowiemy się nigdy, czyśmy się zblamowali.

Tajemniczy uśmiech Giocondy będzie miał jeszcze jedno wytłumaczenie, — będzie się drwiąco uśmiechała do współczesnych Jacka Deana.

A. H.

POLAK WIOŚLARSKIM MISTRZEM EUROPY.

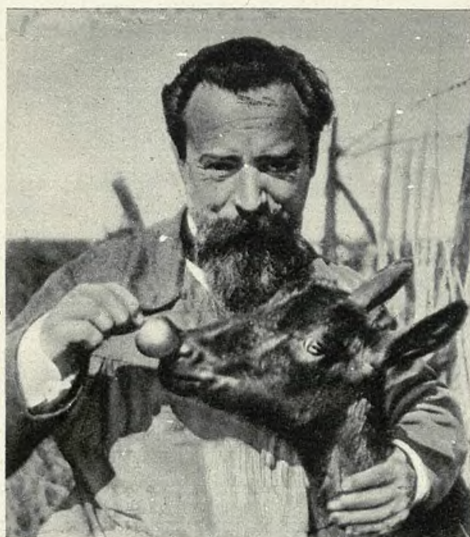


W ub. niedzielę na Dunaju w Budapeszcie rozegrano doroczne mistrzostwa Europy w wioślarstwie, w których zaszczytnie wyróżnił się mistrz Polski p. Roger Verey, zdobywając mistrzostwo Europy na jedynkach. Krakowskiemu wioślarzowi, po powrocie do Krakowa, świat wioślarski zgotował na dworcu żywiołową owację. Na zdjęciu widzimy mistrza Europy Vereya z wieńcem mistrzowskim w otoczeniu kolegów. Sukces Vereya jest tem cenniejszy, iż uzyskany on został bez pomocy trenerów, subsydjów, a zwycięzca zawdzięcza go tylko swej mrówczej pracy, systematyczności, a nie tylko świetnym warunkom fizycznym. Krakowskie sfery sportowe przyjęły z entuzjazmem zdobycie pierwszego tytułu mistrza Europy przez Krakowianina.

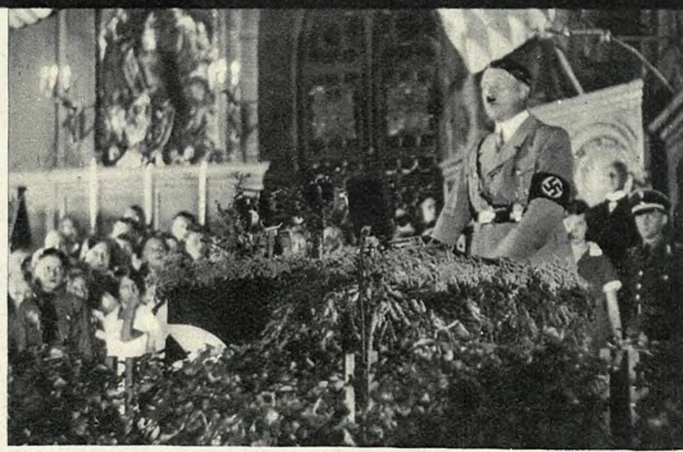
TO SIĘ MUSI ŹLE SKOŃCZYĆ.



Tuż pod bokiem Francji urządzili Niemcy olbrzymią masówkę w Niederwald nad Renem. Przemawiał kanclerz Hitler oświadczając, że Niemcy nigdy nie wyrzekną się zagłębia Saary, którego los ma rozstrzygnąć plebiscyt.



W Londynie ukazała się t. zw. „bronzowa księga", wydana przez emigrantów niemieckich, traktująca o terorze hitlerowskim. M. i. podaje ona, że od marca b. r. hitlerowcy zamordowali skrytobójczo zgórą 500 najrozmaitszych osób. Ostatnią ofiarą ich barbarzyństwa padł prof. Teodor Lessing, z pochodzenia żyd. Po przewrocie uciekł on do Marienbadu. Mimo to nie uniknął śmierci. Nieznany sprawca wtargnąwszy przez okno do mieszkania Lessinga w Marienbadzie, położył go trupem kilkoma strzałami z rewolweru. Atlantic-Photo.



Dnia 30 sierpnia urządzili hitlerowcy w Norymbergji zjazd członków partji. Do 150.000 ludzi przemówił Hitler (na zdjęciu), poczem dr. Gross wygłosił referat o rasizmie, wzywając Niemcy, aby bronili się przed domieszką obcej krwi, gdyż ochrona rasy niemieckiej jest koniecznością dziejową. Scherl.



Na pamiątkę zwycięstwa pod Tannenbergiem urządzono na polu tej bitwy wielką manifestację ku czci Hindenburga, którego obdarowano nowemi posiadłościami. Na zdjęciu dostojnicy niemieccy, słuchający przemówienia nadprezydenta Prus wschodnich Kocha. Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej: kanclerz Hitler, prezydent Hindenburg i premjer pruski Goering.



Gdy pruski XI-pułk jazdy powracał z ćwiczeń przez Berlin zgotowano mu żywiołową owację. Uniesienie tłumów było tak wielkie, jakby już wybuchła wojna.

Najbardziej charakterystyczną i w nowszej historji cywilizowanych narodów niespotykaną cechą systemu hitlerowskiego w Niemczech jest właściwy mu teror, nie dający się nietylko uzasadnić, ale nawet rozumnie wytłumaczyć jakiemikolwiek racjami politycznemi czy państwowemi.

W Niemczech nie toczy się walka o władzę. Partje, rządzące republiką Weimarską, jak gdyby rażone paraliżem, już od dwóch lat blisko patrzyły biernie i bezczynnie na narastanie lawiny tego barbarzyństwa, które nazywa się „hitleryzmem". Brüning nie przeciwdziałał mu poważnie i z użyciem znajdujących się w jego posiadaniu środków władzy. Następca jego von Papen wręcz torował drogę Hitlerowi. Gdy zaś wysłany przez Papena oficer „Reichswehry" z pięciu żołnierzami aresztował urzędujących socjalistycznych ministrów pruskich, potężna partja socjalistyczna jako jedyną odpowiedź na ten akt gwałtu i zuchwalstwa znalazła tylko... skargę do trybunału konstytucyjnego w Lipsku. Komuniści groźni dla socjalistów niczem nigdy nie grozili hitlerowcom. Przeciwnie chętnie z nimi współdziałali. Głosowali razem z nimi przy referendum ludowem o rozwiązanie Sejmu pruskiego. Jeszcze na kilka tygodni przed objęciem władzy przez narodowych socjalistów komuniści razem z nimi robili kilkudniowy strajk na berlińskich kolejach podziemnych. Gdy zaś ostatni kanclerz wolnych Niemiec, generał Schleicher jeszcze w ostatniej chwili chciał rzucić przeciw Hitlerowi „Reichswehrę" razem z robotnikami, szef centrali socjalistycznych związków zawodowych Leipark odmówił mu współdziałania, twierdząc, że nie wie, co o tem „powiedziałby pan Bumke" — prezydent trybunału konstytucyjnego...

Nigdy jeszcze żadna partja, głosząca radykalny i rewolucyjny program, nie doszła do władzy tak łatwo i tak bez wszelkich oporów jak narodowy socjalizm w Niemczech. I mimo to rozpoczął on z miejsca od najdzikszego i najokrutniejszego teroru już to uzasadniając go najbardziej niedorzecznemi hasłami czystości rasy i narodu niemieckiego, już to sam wykonując różne zamachy jak spalenie gmachu parlamentu w Berlinie, aby mieć pozory racji do stosowania teroru. W Niemczech istnieje dzisiaj piętnaście wielkich obozów koncentracyjnych. Liczba ich mieszkańców nie jest znana. Minister Goering jeszcze przed trzema miesiącami sam przyznał się do pięćdziesięciu tysięcy. Od tego czasu bardzo nie wielu ludzi obozy te za życia opuściło, a natomiast bardzo wielu do nich trafiło. Tak więc liczba stu tysięcy ludzi więzionych bez wszelkich wyroków i poddawanych codziennie najwyszukańszym torturom w tych obozach nie będzie z pewnością zbyt wielką.

Równocześnie emigracja polityczna z Niemiec wynosi w tej chwili już blisko trzysta tysięcy ludzi. Odliczając połowę z tego na żydów, uciekających przed pogromami, zawsze jeszcze druga połowa pozostanie na samych Niemców. I to jakich Niemców! Można bez przesady powiedzieć, że cała czołowa literatura niemiecka znajduje się w tej chwili na emigracji, pozbawiona możliwości powrotu do ojczyzny. Laureat noblowskiej nagrody literackiej, Tomasz Mann i jego brat Henryk, Wassermann, Zweig, Remarque, Ludwig i długi zastęp innych — wszyscy na wygnaniu, które z pewnością dobrowolnem nie jest. Z pośród głośniejszych pisarzy niemieckich w Niemczech pozostał obok Hauptmanna tylko rangą moralną między nimi najniższy — Ewers, dawniej autor wielu pornograficzno-sadystycznych powieści, dzisiaj literacki pomocnik Goebbelsa.

Jeszcze do końca ubiegłego roku dwutygodniowe spisy bibljograficzne, wydawane przez związek księgarzy lipskich, stanowiły zawsze kopalnię cennych informacyj dla znawców i miłośników różnorakiej wiedzy i książek. Dzisiaj wystarczy wziąć taki zeszycik do ręki, aby się przekonać, jak odrazu ustała wszelka rzeczywista twórczość duchowa w Niemczech. Poza spisami różnych broszur i wszelkiej bibuły propagandystycznej w duchu Hitlera w spisach tych nic prawie innego niema.

Spustoszenie w nauce niemieckiej mało co mniejsze niż w literaturze, chociaż jego skutki nie ujawniają się tak doraźnie jak tam. Szczególniej na najwyższych szczytach nauki i wiedzy ten nagły huragan barbarzyństwa wyrządził ogromne spustoszenia. Einstein na wygnaniu, a skromne jego oszczędności w kwocie dwudziestu tysięcy marek zasekwestrowane. Darowany mu zaś na przedmieściu Dahlem przez gminę berlińską skromny domek odebrany. Lauret Nobla, znakomity fizyk Frank jako żyd pozbawiony katedry i zmuszony do ucieczki. Nawet rasowo czysty Germanin, profesor Haber, właściwy twórca niemieckiej chemji wojennej, pozbawiony instytutu i katedry musiał porzucić ogarniętą obłędem ojczyznę. Inni zostali, ale ucichli, a myśli ich, przygniecione nawałnicą barbarzyństwa, z pewnością przestały pracować dla nauki i wiedzy. Jedni pochowali się po kątach, drudzy zaś przystosowują się do potrzeb czasu, odbywając na stare lata marsze ćwiczebne po dwadzieścia kilometrów z naładowanymi kamieniami tornistrami na wyścigi z własnymi studentami. Po tych brzuchatych, łysych i zasapanych szybkobiegaczach profesorskich, nauka niemiecka nie ma się już z pewnością czego spodziewać. Bawarski minister oświaty Frank II zniósł wszystkie katedry prawa rzymskiego. Kilku bardzo wybitnych romanistów pozostało w ten sposób bez chleba i możności pracy. Przykłady takie mnożyć można w nieskończoność zawsze z tym jednym wnioskiem ostatecznym, że Niemcy nagle w ciągu kilku miesięcy stoczyły się w przepaść barbarzyństwa.

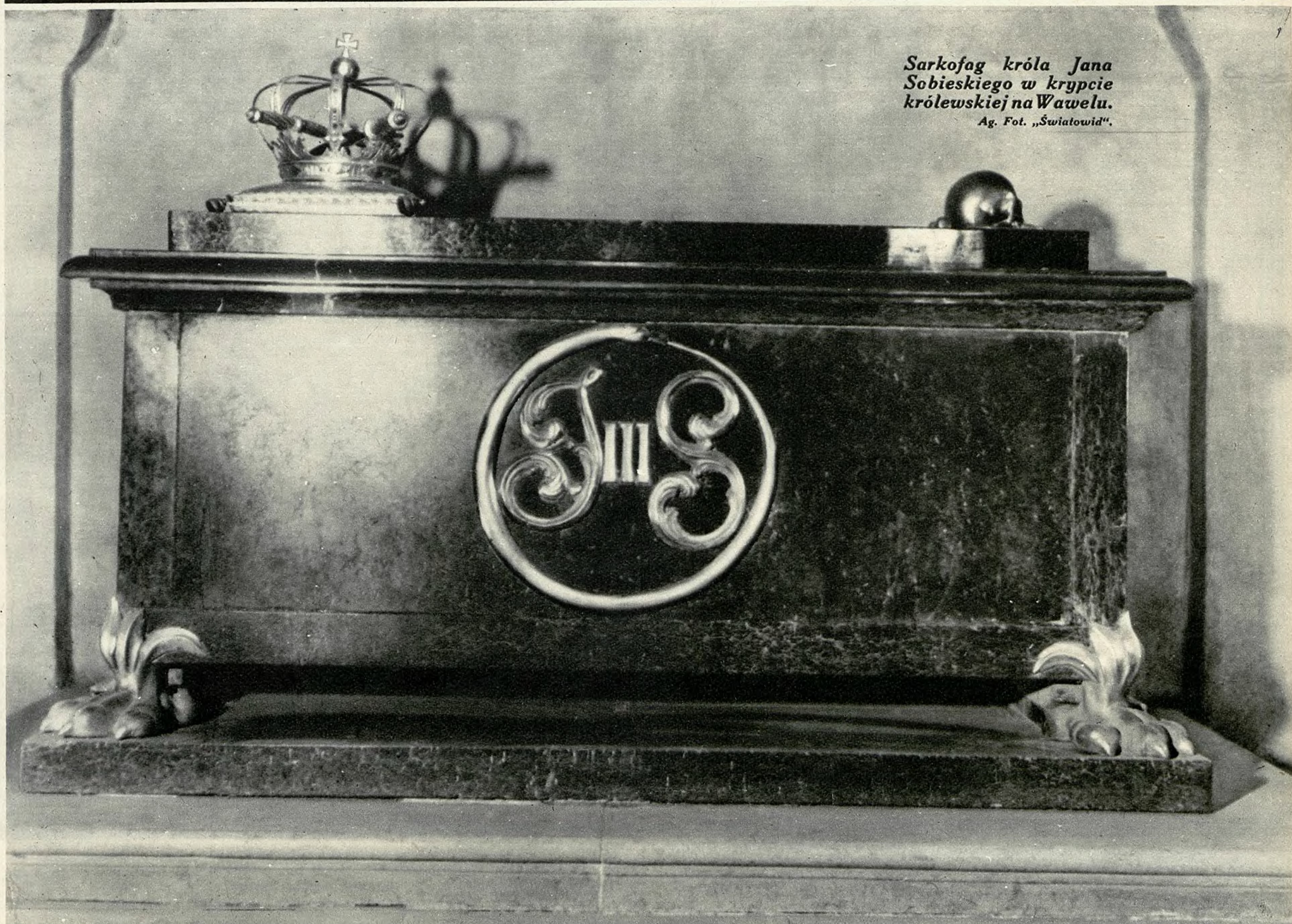
W świecie działaczy politycznych teror hitlerowski jest oczywiście najgwałtowniejszy. Gdy jednak w stosunku do przewódców socjalistycznych i komunistycznych teror ten można przynajmniej wyjaśnić, jakkolwiek bynajmniej nie uzasadnić, to teror stosowany wobec przedstawicieli kierunków umiarkowanych, nacjonalistycznych i konserwatywnych świadczy już o stosowaniu gwałtu jako sztuki dla sztuki. Bezpośredni następca Hugenberga na stanowisku prezesa parlamentarnego klubu narodowo niemieckiej partji, więc tej, która dotąd nominalnie współrządzi z Hitlerem — Oberfohren popełnił samobójstwo, ponieważ policja polityczna Hitlera wykryła, że napisał on memorjał, zawierający rzeczywistą historję podpalenia Reichstagu. Rozumiejąc więc, co znaczy takie odkrycie, wolał ten prawicowiec popełnić samobójstwo. Przewodniczący centrum katolickiego, prałat Kaas, który od kilku lat marzył słodko o współdziałniu właśnie z narodowymi socjalistami zamiast z socjaldemokratami, wolał ze względów „zdrowotnych" pozostać w Rzymie, wiedząc, że w Niemczech Hitlera tylko jakiś obóz koncentracyjny byłby mu wyznaczony jako jedyne pole działania. Godząc w byłego kanclerza Brüninga, który swoją polityką przyczynił się najbardziej do triumfu Hitlera, urządzono w Kolonji proces o oszustwo, w którym jego rodzonego brata skazano na trzy lata więzienia. Ale teraz sieci zostały już zarzucone przeciw samemu Brüningowi. Prasa hitlerowska ogłosiła mianowicie list rzekomy, jaki Brüning miał pisać do papieża, błagając go, aby z Niemcami Hitlera konkordatu nie zawierał. Brüning wprawdzie oświadczył natychmiast publicznie, że nigdy takiego listu do papieża ani wogóle do nikogo nie pisał, jednak znawcy dzisiejszych stosunków wiedzą, że oświadczenie to nic nie pomoże. Dr. Brüning, zamiast — jak zamierzał — w klasztorze, gotów lada dzień znaleźć się w obozie koncentracyjnym... jako zdrajca „zbudzonych" Niemiec.

Ponura i duszna noc zaległa Niemcy, a ciężki koszmar spadł na piersi całej Europy i wszystkich jej narodów, które przecie widzą i rozumieją lub przynajmniej wiedzieć i rozumieć powinny, że w tem szaleństwie niemieckiem jest metoda, a przedewszystkiem cel oczywisty. Środkami tego niebywałego teroru chce Hitler i stojąca za nim oligarchja rzeczywistych władców przeistoczyć Niemcy w jeden obóz wojenny, w jedną olbrzymią armję, aby ją potem rzucić zapewne na wschód najpierw, potem zaś pozostać sam na sam z zachodem...

Narody patrzą i widzą, ale czy rozumieją? Przecież to się musi skończyć wojną...

S.

KRÓL-TRIUMFATOR.



Sarkofag króla Jana Sobieskiego w krypcie królewskiej na Wawelu.
Ag. Fot. „Światowid".

W 250-LECIE ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ:

W dniu 12. września cała Polska obchodzić będzie 250-letnią rocznicę odsieczy wiedeńskiej. Jest to bowiem jedno z najwspanialszych zwycięstw, odniesionych przez oręż polski, które porównać można tylko z Grunwaldem i Cudem nad Wisłą.

W połowie XVII-go wieku, Polska chyliła się już do upadku. Po złotych czasach Jagiellońskich, przyszło załamanie. Za Wazów Polska jest bramą przechodnią dla wszystkich awanturników. Pożar wojenny nie gaśnie przez dziesiątki lat. Krwawy potop zalewa Rzeczpospolitę, uwikłaną w niepotrzebne wojny dynastyczne, wywoływane przez ludzi, których przypadek posadził na tronie Piastów. Na Wschodzie ciągłe bunty kozackie. Kraj rozbity i skłócony. Potęga bisurmańska pod bra nami Lwowa. Szlachta zaczyna rozumieć, że błędem jest poruczanie władzy obcym monarchom. Wybiera Piasta, naprzód Wiśniowieckiego, a potem Sobieskiego, rozumiejąc, że tylko swojak, że tylko Piast zrozumie potrzeby kraju i wywiedzie go z topieli.

Panowanie Sobieskiego, to długie zmaganie się z nawałą turecką, która parła nieustannie na północ, dwiema bramami wypadowemi, jedną od Kamieńca Podolskiego na Lwów a drugą od Budapesztu na Wiedeń.

Na tych wojnach z Turcją i Tatarami schodzi Sobieskiemu niemal całe życie. Prawie zawsze mając do dyspozycji niedostateczne siły, potrafi nietylko uniknąć zagłady, ale zadać nawet klęskę przeciwnikowi. Zwycięstwa te nie są czemś przypadkowem. Nowsze badania wykazały, że Sobieski był znakomitym wodzem i świetnym strategiem, który umiał użyć wojska swego i rzucać je w najsłabszy punkt nieprzyjaciela. W porównaniu z wielkimi ówczesnymi wodzami a przedewszystkiem z Kondeuszem i marsz. Turenne, gwiazda Sobieskiego nietylko że nie gaśnie, ale nabiera specjalnego blasku.

Rozkazy Sobieskiego, wydawane do wojsk, n. p. pod Wiedniem, świadczą o jego genjalnym talencie strategicznym, który daleko wybiegał poza ówczesne szablony. Koroną tych wszystkich wypraw wojennych jest Odsiecz Wiedeńska. Niemcy próbują pomniejszyć znaczenie tej wiktorji, wyznaczając Sobieskiemu w bitwie wiedeńskiej bardzo skromną rolę. Ale trudno walczyć z tymi argumentami, dyktowanemi jedynie szowinizmem i złą wolą.

Gnała Sobieskiego pod Wiedeń nietylko żądza pokonania Turków, ale także głęboka wiara, która podówczas była motorem wielu działań i przenikła do dnia całe społeczeństwo. Wszak toczyły się wojny religijne (wojna 30-letnia), wszak obrona ideałów chrześcijańskich zapalała rycerstwo do wypraw krzyżowych.

Dla Sobieskiego wiara była czemś, co wypełniało całe jego jestestwo. Naprzód uważał się za rycerza Chrystusowego, a potem dopiero za Polaka. Dlatego, gdy usłyszał wezwanie z ust nuncjusza papieskiego, aby szedł pod Wiedeń, nie namyślał się ani chwili. Idzie też, niby pątnik od kościoła do kościoła, od jednego wizerunku Matki Boskiej do drugiego, modląc się wszędzie gorliwie, krzyżem leżąc i spowiadając się. Zatrzymuje się kolejno w Częstochowie, w Krakowie i w Piekarach. Rozgromiwszy Turków przedewszystkiem posyła o tem wiadomość papieżowi. I głowie Kościoła przekazuje chorągiew proroka.

Kiedy bitwa już wre, kiedy Niemcy atakują na lewem skrzydle, on modli się, Mszy św. słucha i relikwje całuje.

Szczegóły te są o tyle ważne, że niejednokrotnie podnoszą się głosy krytyczne, poco właściwie Sobieski szedł pod Wiedeń? Wszak lepiejby zrobił, gdyby został w domu i nie ratował austrjackiego cesarza, który kiedyś miał być jednym z grabarzy Polski. Otóż ci, którzy tak twierdzą, zapominają o momencie religijnym tej wyprawy, nie zdają sobie sprawy, że to była polska wyprawa krzyżowa, podyktowana duchem czasu i uczuciem przemożnem, które podówczas było siłą kształtującą losy ludzkości.

Ale i bezpieczeństwo polskie nakazywało tę wyprawę. Wszak gdyby Turcy byli zdobyli Wiedeń i całe Węgry i usadowili się tam na stałe, nie ulega wątpliwości, że zczasem byliby się zwrócili przeciwko Polsce, atakując ją nietylko od Podola, ale także od Karpat. Kraków znalazłby się wtedy w bezpośredniem niebezpieczeństwie najazdu. Zresztą pomimo klęski wiedeńskiej, Turcy i tak jeszcze potem atakowali Polskę i byli ciągle jej postrachem.

Jest w wyprawie wiedeńskiej wspaniały patos, jakiś wielki gest rycerski. Jedzie król, a za nim 20.000 rycerzy, w błyskawicznem tempie przebywają przestrzeń z Krakowa do Wiednia po ówczesnych bezdrożach. Spadają jak burza na karki bisurmanów, pędzą ich aż pod Parkany i z ogromnym łupem i glorją wracają do kraju.

Pod Wiedniem zajaśniała jeszcze raz chwałą jazda polska, mająca za sobą tyle wspaniałych zwycięstw. Atak bowiem huzarji przeszedł do historji, jako jedna z najcudowniejszych szarż kawaleryjskich. Odtąd ten poszum skrzydeł huzarskich i te same skrzydła stały się dla naszego narodu drogowskazami bohaterstwa i najwyższego poświęcenie.

Wiktorja wiedeńska to ostatni wielki wysiłek narodu polskiego przed jego upadkiem. Potem przyjdą wstrętne, ohydne czasy Sasów, popuszczanie pasa, liberum veto, prywata, zdrada i podłość we wszelkich odmianach, a wreszcie niewola. Zmartwychwstanie mundur polski potem w wielokrotnych powstaniach, a wyzwolenie przyniesie dopiero rok 1918 i odrodzenie armji polskiej. Ta armja w 250-letnią rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem stanie na baczność przed sarkofagiem Wielkiego Króla, meldując mu:

Wasza Królewska Mości, hołd Ci składa wojsko polskie, niepodległej Rzeczypospolitej i chyli przed tobą sztandary, potargane kulami pod Łowczówkiem, Mołotkowem, pod Warszawą i pod Lwowem, który tak ukochałeś. Cześć Ci Wielki Królu i Wojowniku!

J. L.

WILANÓW.

Biurko, ofiarowane Sobieskiemu przez papieża Innocentego XI. po zwycięstwie wiedeńskiem.

Hall w pałacu wilanowskim.

Ogólny widok pałacu w Wilanowie.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".

Kto nie słyszał o Wilanowie, miejscowości położonej o milę od Warszawy, pełnej pamiątek po Sobieskim, jako o dawnej jego letniej rezydencji! Wycieczka do Wilanowa należy do najulubieńszych dla mieszkańców Warszawy, zwłaszcza że połączona jest z pożytkiem duchowym. Wilanów, pod pierwotną nazwą Milanów, ukazuje się w XIII wieku jako własność Benedyktynów z Płocka, później należy do książąt mazowieckich, a w XVI wieku do Milanowskich. W roku 1667 Sobieski, wobec istniejącego prawa, że królom w Polsce nie wolno było dla siebie skupywać ziemi, nabył Milanów z sąsiedniemi wsiami na imię swego przyjaciela Matczyńskiego. Najchętniej przebywał Sobieski w swych posiadłościach w ruskiem województwie, Jaworowie — Żółkwi, Złoczowie czy Olesku, ale ze względu na konieczność częstej bytności w pobliżu stolicy, zbudował tu pałac i otoczył go ogrodem, w którym z zamiłowaniem ziemianina sam sadził drzewa. Opowiadają, że właśnie przy sadzeniu drzew zastał go poseł cesarski, wzywający do jak najszybszej pomocy dla oblężonego Wiednia. Park, w którym za życia króla rosły tylko małe drzewka, dziś pełen jest cienia. Syn Jana III Konstanty sprzedał Wilanów z całym kluczem, mającym ok. 15 tys. morgów, Elżbiecie Sieniawskiej w roku 1720. Zofja Sieniawska wniosła go jako wiano mężowi Aleksandrowi Czartoryskiemu, a ich znów córka Aleksandra, Stanisławowi Potockiemu, późniejszemu ministrowi oświecenia królestwa kongresowego, a po Potockich odziedziczyli go Braniccy, dzisiejsi właściciele.

Jedna z sal w pałacu wilanowskim.

Pałac wilanowski stawiał Augustyn Locci, a pracował tu, prócz wielu włoskich rzeźbiarzy, sławny gdański mistrz A. Schlüter. Później pałac rozszerzono i częściowo podwyższono, tak, że prócz głównej środkowej części, ma on dwa boczne skrzydła, obejmujące podwórze, ale całość czyni więcej wrażenie bogatego dworu pańskiego, niż rezydencji królewskiej. — Barok francuski łączy się z włoskim. Król sprowadzał sprzęty i przedmioty z Francji i Niderlandów. Pokój, w którym król zmarł 17 czerwca 1696, zamieniono na kaplicę. Prócz obrazów pamiątkowych z dawniejszych czasów, jak srebrnych mis ofiarowanych Ludwice Marji Gonzadze i Janowi III, hebanowego biurka wykładanego macicą perłową, kością słoniową i bronzem, z herbem Janina, ofiarowanego po zwycięstwie wiedeńskiem królowi przez papieża Inocentego XI, obrazów i przedmiotów zebranych przez samego Sobieskiego, inne zabytki, jak broń pamiątkową, portrety znanych ludzi i t. d. zgromadzono tu przeważnie po powstaniu listopadowem, tworząc rodzaj prywatnego muzeum, w którem prócz pamiątek narodowych nie brakło nawet takich okazów, jak wykopalisk rzymskich i greckich, których posiadanie w okresie klasycyzmu należało do dobrego tonu. Liczba obrazów przewyższa 1500. Liczna jest cenna biljoteka, której początek dał sam król. Niedawno zbiory i bibljotekę oddał obecny właściciel Branicki rządowi polskiemu. Z tych zbiorów przepyszny, czysto jedwabny perski dywan, przetykany srebrem, XVI w., t. j. z najlepszego okresu, oglądamy dziś na wystawie króla Jana III.

Dr T. K.

KRÓL JEDZIE POD WIEDEŃ.

Wymarsz z Krakowa — W Piekarach i w Tarnowskich Górach — Na Kahlenbergu — 12. wrzesień 1683 — Genjalny wódz — Powitanie w Wiedniu — Łupy — Pościg — Bitwa pod Parkanami — Powrót do Krakowa.

Dnia 12 września br. upływa 250 lat, jak Jan III Sobieski na czele rycerstwa polskiego, z połączonemi siłami elektorów cesarstwa niemieckiego, odniósł pamiętne nietylko w dziejach Polski, ale i Europy zwycięstwo i wielką dotąd potęgę bisurmańską ostatecznie tak przełamał, iż przestała być groźną dla Europy i dla świata.

W pobliżu Warszawy, na małym pagórku, zwanym „Marymontem" („Mariaemons — Góra Marji") królowa Marja Kazimiera, żona Jana III, zwana przez niego pieszczotliwie „Marysieńką", zbudowała pałacyk, dotąd istniejący.

Wznosił się on, wśród obszernej wówczas kniei, pełnej grubego zwierza, rozciągającej się od Wisły i okalającej całą niemal Warszawę.

Tutaj to, po skończonych łowach, w roku 1683, na danej przez królowę uczcie, dał słowo Jan III, że ofiarowanego przez Turcję pokoju nie przyjmie i na odsiecz Wiedniowi pośpieszy.

I słowa dotrzymał.

Dnia 11 września 1683 roku, tuż przed zachodem słońca, stanął Król na górze Kahlenberg pod Wiedniem, skąd widną była wieża św. Szczepana i wynioślejsze gmachy miasta.

Wiatr od 26 godzin wiał tak silny, i tak prosto w oczy rycerstwu naszemu, że się ledwo na koniach utrzymać mogło. Połączone wojska zajmowały przeszło pół mili w szerz. Sam król stanął w zagaju dębowym, gdzie mu mały namiot rozbito i materac porzucono. Sobieski usiadłszy na nim, w te do dworzan odezwał się słowa:

— „Nie mam się na kogo spuścić, a sam sfatygowanym bardzo, trzeba, abym miał czas na jutrzejszą pracę. Będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński Starhemberg, trzeba mi ich pilnować, a nie mogę".

Na to odezwał się Materzyński, koniuszy koronny i dyspozytor dworu królewskiego:

— „Mości królu, trzebaby się wywczasować, choć nie tak, jak należy. Na mnie się Wasza Królewska mość spuść, a ja przypilnuję".

Król rzekł: „Nie mogę też komu innemu poufać".

I wydawszy hasło do całego rycerstwa: „W Imię Marji Panny, Boże dopomóż" — położył się na materacu i zasnął.

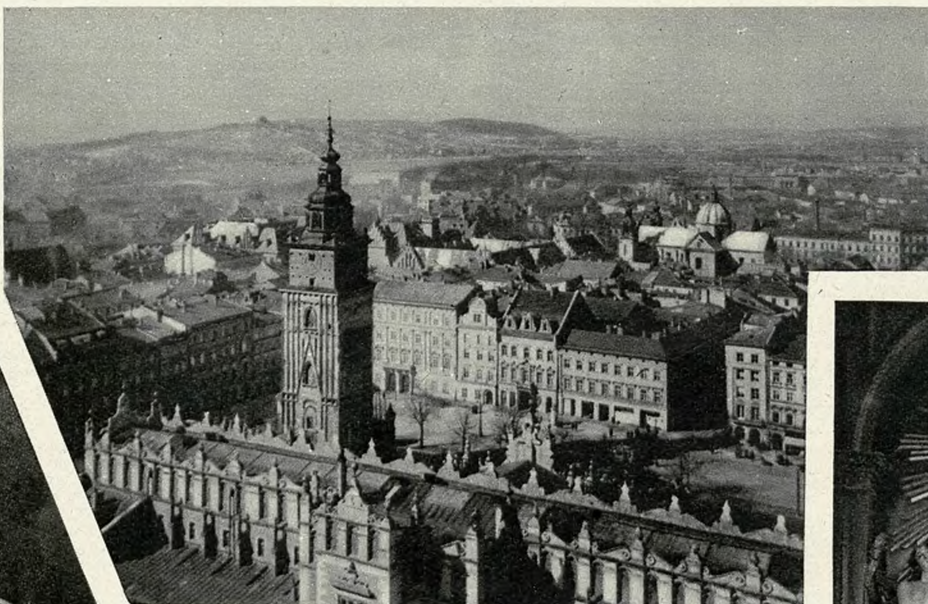
Małczyński we drzwiach namiotu siadł na taborecie, który masztalerz nosił zawsze w trokach, bo po nim Sobieski, dla zbytniej otyłości, wsiadał na konia.

O północy wypada raca z wieży św. Szczepana w Wiedniu. Ujrzawszy ją, odzywa się Małczyński do króla:

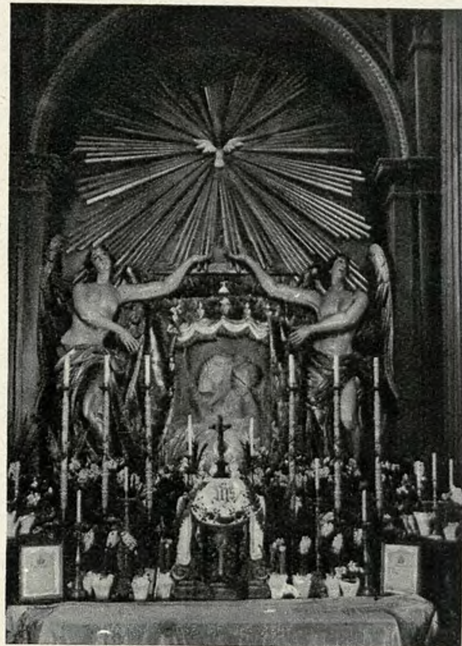
(Ciąg dalszy na str. 15-ej).



Idąc pod Wiedeń nie omieszkał Sobieski wstąpić do Częstochowy, gdzie ofiarowano mu szablę po Żółkiewskim.

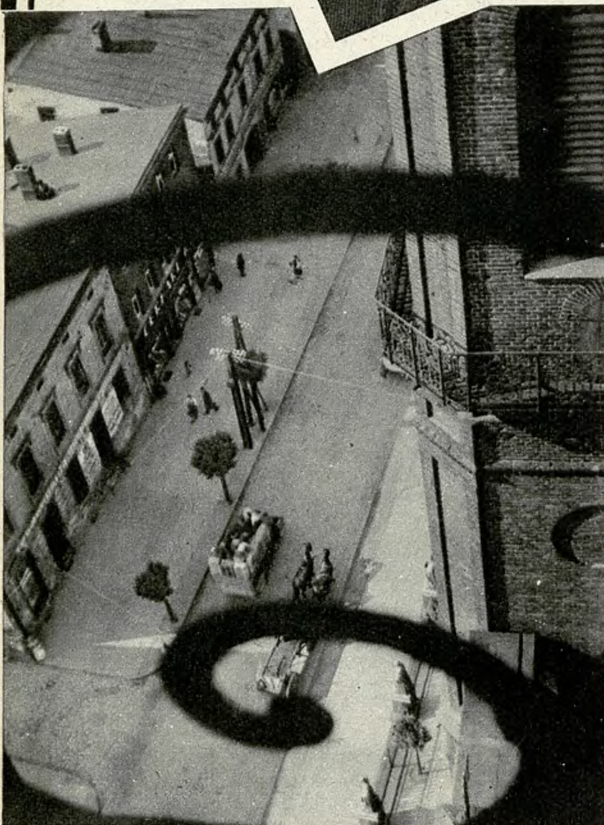


Ogólny widok Krakowa, skąd Sobieski dnia 15 sierpnia 1683 r. wyruszył pod Wiedeń, wyprawiwszy kilka dni przedtem wojewodę wołyńskiego, hetmana Mikołaja Sieniawskiego, z częścią wojska.



Cudowny obraz Matki Boskiej w kościele Karmelitów w Krakowie, przed którym modlił się Sobieski przed wyprawą wiedeńską.

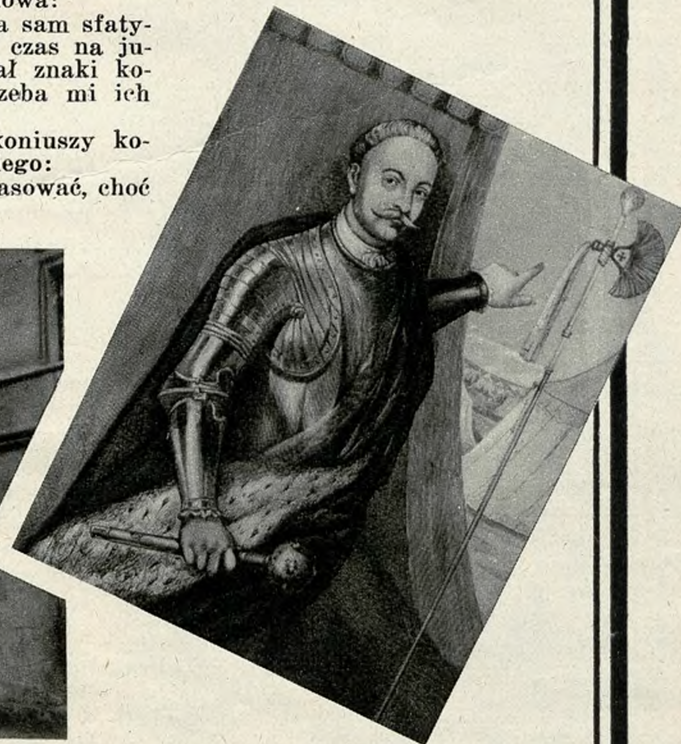
Wojewoda wołyński Mikołaj Sieniawski wsławił się na wojnach szwedzkich, kozackich i tureckich za czasów Jana Kazimierza, Michała i Jana III. W czasie wiedeńskiej wyprawy dowodził przednią strażą. Umarł w 1684 r. w Lubowli na Spiszu.



Widok z wieży kościelnej na Piekary na Śląsku, gdzie Sobieski bawił w przejeździe do Wiednia, aby pomodlić się przed obrazem Matki Boskiej.



Stary domek na rynku w Tarnowskich Górach na Śląsku, pamiętający przemarsz wojsk Sobieskiego pod Wiedeń.



Stanisław Jabłonowski, hetman w. koronny, wojewoda ruski. Sławny wojownik, uczeń Czarneckiego, wielokrotny pogromca Turków. Dowodził częścią wojska pod Wiedniem.



Andrzej Potocki, kasztelan krakowski, na którego Jan III wyruszając pod Wiedeń zdał rządy państwem, Po śmierci Sieniawskiego oddał mu wakującą buławę polną. Syn jego Stanisław zginął pod Wiedniem.



Dnia 12 września stanął Sobieski na Kahlenbergu pod Wiedniem. Są to wzgórza, na których wznosił się klasztor Kamedułów. Ze wzgórz tych wykonała husarja polska swój słynny atak.



Jan Gorzeński, łowczy wielki litewski, pułkownik gwardji królewskiej.



Michał Pac, wojewoda wileński, hetman wielki litewski.



Hieronim Augustyn Lubomirski, hetman wielki koronny. Syn Jerzego. Umarł w 1707 r.



Za czasów Leopolda IV. Kahlenberg nosił nazwę Schweinsberga. W 1628 r. cesarz Leopold Ferdynand II. oddał Kahlenberg OO. Kamedułom, którzy tam założyli klasztor. W 1906 r. kościół na Kahlenbergu dostał się w ręce Zgromadzenia Księży polskich Zmartwychwstańców, którzy go odnowili.



Marja Kazimiera, żona Jana III. Towarzyszyła mu w wyprawie z Krakowa do Tarnowskich Gór.



Królewicz Jakób Sobieski, najukochańszy syn króla. Walczył u jego boku pod Wiedniem.



Kaplica Sobieskiego na Kahlenbergu. ozdobiona obrazami według szkiców prof. Jana Rozena ze Lwowa, które odtwarzają zwycięswo rycerzy polskich pod Wiedniem.

Ciąg dalszy ze str. 14-ej.

— Mości królu, już jeden znak wyszedł.

— To już wie — odrzekł Sobieski — żem się przez Dunaj przeprawił.

W kilka pacierzy znowu wypada druga raca. Odzywa się Małczyński:

— Mości królu, już drugi znak!

— To już wie, żem się już od taborów ruszył.

Potem trochę poczekawszy, trzecia raca wypada, i mówi Małczyński:

— Mości królu, już trzeci znak!

Dopiero król podniósł głowę, a przeżegnawszy się, rzecze:

— Niech będzie Bóg pochwalon, to już wie, że się tu z wojskiem znajduję.

I uspokojony nakręcił zegarek z ekscytarzem na godzinę trzecią po północy, zmrużył oczy i zasnął twardo. Małczyński — zdrzemnął się także na taborecie. Wiatr gwałtowny ucichał, zwiastując dzień pogodny.

O trzeciej ekscytarz zaczął bić w zegarze głośno. Zbudził się król Jan i woła:

— Chłopiec! Jest tam który?

Mikołaj Dyakowski rozbudzony, odezwał się pierwszy i stanął gotowy.

— Biegaj, - wyrzekł król — do księży kapelanów i pobudź ich, iżby się do Mszy gotowali, a z bębnów mensę niech im zrobią.

Kiedy pokojowiec wybiegł, Sobieski usiadłszy na taborecie, na złożonym materacu, zaczął pisać list do żony, zaczynając, jak zwykle każdy:

„Jedyna duszy i serca mego pociecho, Najmilsza i Najukochańsza Marysienko!"

W nim opisując szczęśliwą przeprawę przez Dunaj, postacie elektorów, którzy przybywali doń po rozkazy, mówi o głodzie i trudach, jakich doznaje, a wkońcu straszną wichurę przypisuje czarom wielkiego wezyra: „bo wezyr ma być wielki czarownik", i zamyka list swój z tą myślą, że do stanowczej walki nie przyjdzie prędzej, jak za dwa dni, chociaż już nazajutrz odniósł stanowcze zwycięstwo.

Po wysłuchaniu Mszy świętej, równo ze wschodem, rozkazali król i hetmani na koń wsiadać. Uderzono w kotły, trąby i bębny; wychyliły się gęste zastępy jazdy, piechoty i artylerji z cieni leśnych, zajmując wyznaczone stanowiska.

Dają znać wezyrowi, że wielkie wojska polskie następują. Ten, do ostatka, nie wierząc w bytność Sobieskiego, wypada z namiotu swego, a poznawszy po chorągwiach prawdę, zawołał z boleścią: „O Królu! Jak mogłeś taką krzywdę uczynić panu memu?"

I z rozpaczą upadłszy na duchu, smutnie opuścił głowę na piersi.

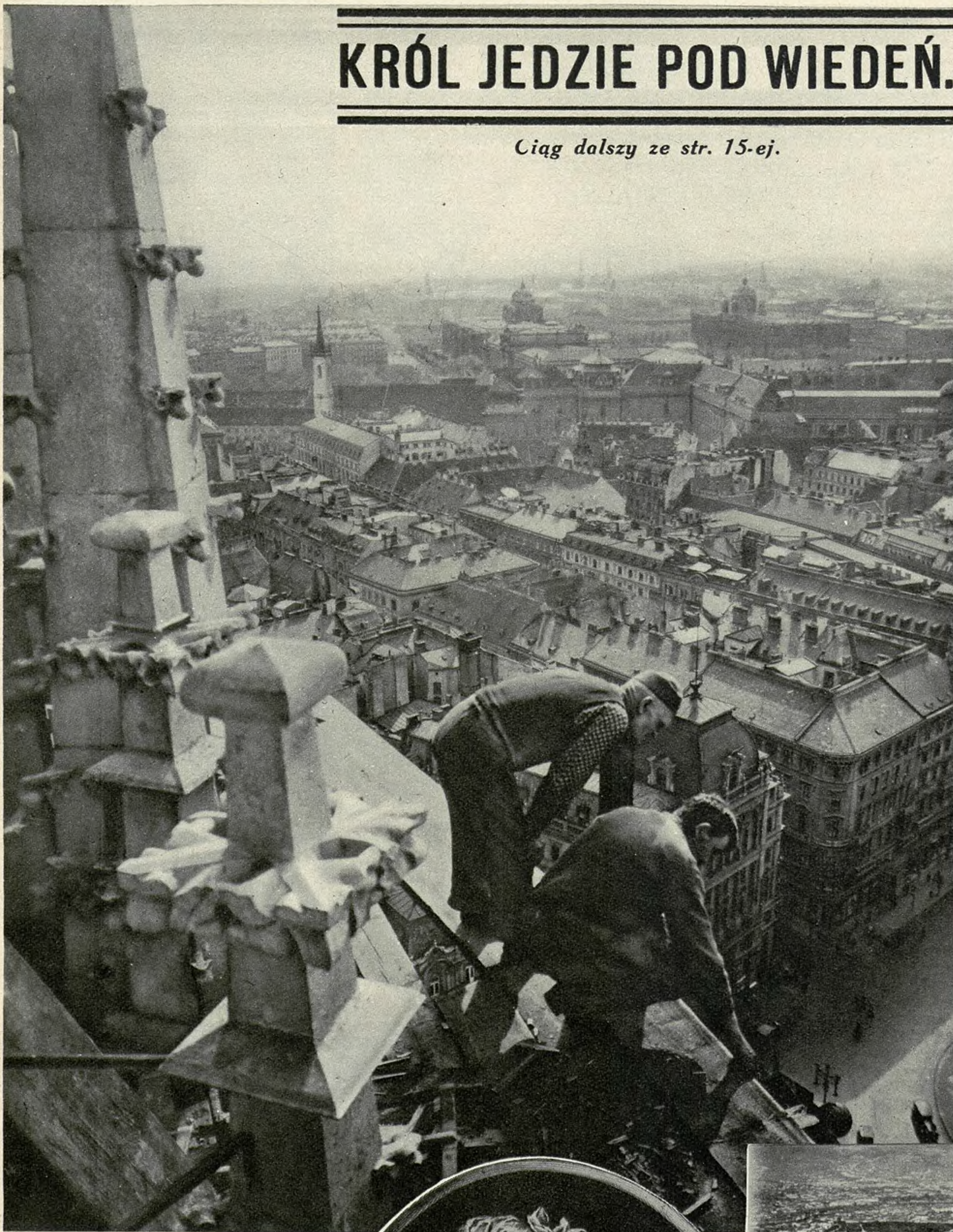
Król dnia tego ubrał kontusz sukienny niebieski, żupan biały, jedwabny, przepasany złotym łańcuchem. Siedział na dzielnym rumaku płowej maści, zwanym „pałasz". Przy prawem udzie miał przytrokowany mały bębenek, a głośny, w który uderzał od czasu do czasu, przywołując rezydentów (adjutantów) od każdej chorągwi, którym wydawał rozkazy.

Poprzedzał króla giermek, puklerz w kształcie her-

(Ciąg dalszy na str. 16-ej).

KRÓL JEDZIE POD WIEDEŃ.

Ciąg dalszy ze str. 15-ej.



Ogólny widok Wiednia z wieży kościoła św. Szczepana.

bowej tarczy (Janiny) noszący i chorąży, który dla oznaczenia gdzie się król znajdował, przymocował do proporca swego pióro sokoła.

Królewicz Jakób, nieodstępny ojca w krwawej potrzebie towarzysz, miał szyszak z blachy srebrnej na głowie, zbroję na piersiach, szablę z boku, a pod lewem udem, zwyczajem dzielnej husarji koncerz obosieczny.

A kiedy już wojsko polskie stanęło gotowe do boju, wysunął się na czoło jego dzielny król i jego dowódca Jan III i tak doń przemówił:

„Rycerze! Tam, na dole, wielka jest liczba wrogów naszych, jako pod owym Chocimem, gdzieśmy ich potężnie zgromili.

Wy ich znacie, rycerze, znacie ze zwycięstwa nad nimi. Dzisiaj na obcej wprawdzie walczycie ziemi, ale i tu za własną ojczyznę, bo pod murami Wiednia, strzeżecie razem i naszej ukochanej Polski, bo dzisiaj nie jedno miasto, ale całe zbawicie chrześcijaństwo.

Święty bój toczycie, rycerze, bój, w którym samo usiłowanie jest chlubą, a mężnie poległym, niebios gotuje koronę.

Już nad głowami swojemi widzą was dumni niewiercy, na sam wasz widok kryją się w wąwozach i lasach — przyszłych grobach.

Rycerze! Jeden tylko mam do was rozkaz: król wasz przewodniczyć wam będzie, idźcie żywo i odważnie!“ *)

To rzekłszy, daje król rozkaz Szczęsnemu Potockiemu, wojewodzie sieradzkiemu, aby pierwszy uderzył na Turków z chorągwią swoją husarską.

Wojewoda staje na czele: dawnym zwyczajem hussarja zniża straszne swoje kopje wpół ucha końskiego, pochyla głowy w chełmach, wyrusza kłusem i zrywa się w niepowstrzymany galop. Skrzydła orle i sokole z poświstem z bark im powiewają, szumią fruwaniem swojem długie u kopij chorągiewki, szum przeraźliwy otacza ten zastęp, jakby ptactwa w stalową zbroję przebranego.

Jazda turecka nie dotrzymuje pola, konie spłoszone pierzchają, ale tłumy uciekających same w tłoku zatrzymują się, a ochłonąwszy z przestrachu uderzają na tę chorągiew i otaczają Polaków.

Widząc, w jak gorących opałach jest wojewoda sieradzki, Stanisław Potocki, starosta kaliski, bez rozkazu hetmańskiego, ze swoją chorągwią pancerną śpieszy na pomoc swojemu stryjowi, łączy się z husarją i straszną rzeź sprawiają obaj Potoccy w tłumach Turków, ale pada ofiarą młodzieńczego zapału Stanisław.

Janczarzy srodze razili wojska chrześcijańskie, zasadzeni po winnicach obmurowanych. Kiedy po trzykrotnym szturmie zdobyto ich warowne pozycje, kładąc trupem wszystko, co opór stawiało, król, skoro mu dano znać, że lewe skrzydło armji sprzymierzonej jest już w namiotach tureckich od Dunaju, Wołajcie mi, rzekł król, p. Miączyńskiego, niechaj mi tu przychodzi z pułkiem swoim.

Skoro tenże stanął z chorągwią, król rzecze do niego:

„Zaraz mi Wasze idź i opanuj namioty wezyrowskie!“

Miączyński dał znak: cały pułk z miejsca cwałem poskoczył. Nic mu się oprzeć nie mogło; co nie pierzchło, legło stratowane pod kopytem, obalone kopją, zrąbane szablą.

Wielki wezyr widząc straszną klęskę wojsk swoich, rozkazał, jako ostatni ratunek, rozwinąć i podnieść wielką chorągiew Mahometa, otoczoną strażą najwaleczniejszych.

Ale dzielna husarja nasza straż tę obala; chorąży, spadłszy z zabitego konia, sam poległ, a zdobyty drogocenny sztandar król posłał do Rzymu Ojcu świętemu, gdzie zawieszony został w Watykanie.

Wielki wezyr ujrzawszy upadającą chorągiew swoją i popłoch w całem wojsku tureckiem, zawoławszy synów do siebie, płakał jak dziecię. Potem rzekł do obecnego chana tatarskiego:

„Ty mnie ratuj, jeżeli możesz“.

Ale chan na to odpowiedział:

„Znamy my króla polskiego, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy ocaleć mogli“.

Wezyr złamany klęską, nic nie odrzekłszy, dosiada rączego rumaka i śpiesznie uchodzi.

Król Sobieski postępuje z chorągwiami, które przy sobie zatrzymał. Wre dalej walka zacięta... „Bo mnie przyszło (pisze Jan III) z wezyrem łamać“. Broniące się pułki janczarów w pień wycina i wchodzi w wielkie miasto namiotów, bo tak wyglądał turecki obóz. Cała armja sprzymierzona, kiedy stanęła w obozie tureckim, zaledwo czwartą część namiotów zajęła.

Tymczasem Wiedeń był nadal w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż pomimo strasznej klęski zadanej i ucieczki wielkiego wezyra, druga armja janczarów wciąż szturmowała do Wiednia.

Król Sobieski nie wiedząc o tem, a widząc ,że swobodnie uchodzą Turcy, gdy wycieczka z Wiednia mogła im drogę przeciąć, zawołał z gniewem:

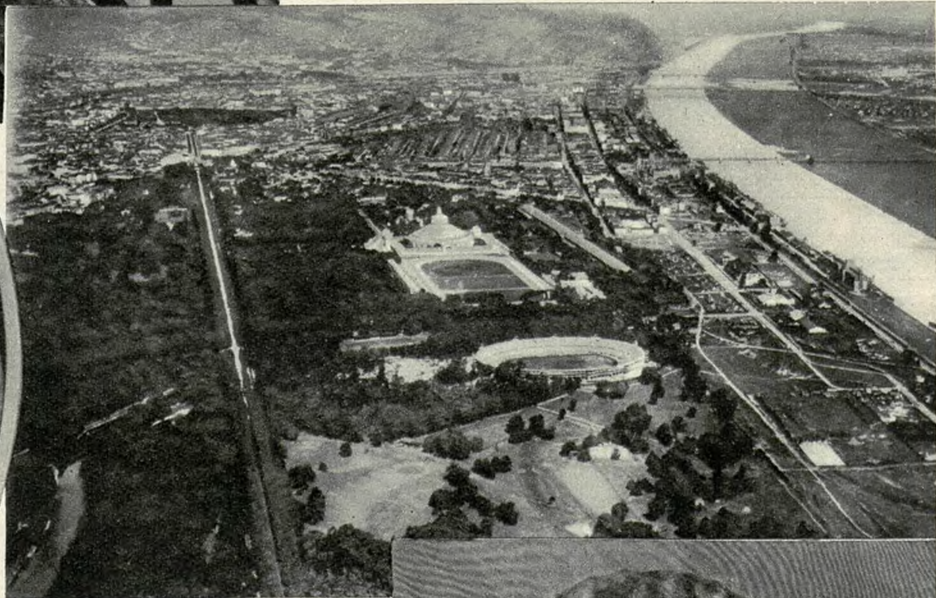
„Nie będę królem, jeżeli jutro nie każę Staremberga obwiesić wpół Wiednia, że nieprzyjaciel uchodzi, a mając 12 tysięcy wojska, on go nie przerzyna“.

Dopiero z namiotów tureckich poznał powód prawdziwy, kiedy gęste zastępy janczarów zaczęły się cofać z pod Wiednia, dowiedziawszy się o klęsce swoich.

Dzień to był skwarny, słońce dopiekało do samego zachodu. Król stanął w zdobytym namiocie wielkiego wezyra, ale nie używał wywczasu; usiadłszy na swoim taborecie podróżnym, przesiedział tę całą noc. *(Ciąg dalszy na str. 17-ej).*



Kara Mustafa, dowódca wojsk tureckich pod Wiedniem.



Widok na Dunaj i Wiedeń.



Marcin Kącki, generał artylerji koronnej; dowodził artylerją polską pod Wiedniem.

*) Powyższą odezwę przyłączają niemieccy kronikarze. Nie wyszczególnia się ona krasomówstwem, ale jest prawdziwym wyrazem odwagi, bogobojności i zaufania wodza do wojska.

KRÓL JEDZIE POD WIEDEŃ.

Ciąg dalszy ze str. 16-ej.

Zdobyto łupy bogate; musiały one być wysokiej wartości, kiedy Jan Sobieski pisał, że nie mogą być porównane ze zdobyczą pod Chocimem. Oprócz namiotów, wozów, koni, samych sajdaków kilka, sadzonych rubinami i szafirami, oceniono na kilka tysięcy czerwonych złotych ówczesnych.

Złotych szabel, kindżałów, sutych i kosztownych rzędów na konie moc nienaliczona, równie jak strzelb i pistoletów. Namiotów liczono do 100 tysięcy, całą armję turecką na przeszło 800 tysięcy.

Sobieski, w liście pisanym tejże nocy w namiocie wezyrskim do żony, uradowany, tak się wyraża:

„Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako wiesz tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, „żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił, bo ten, co zdobywa w prawie być musi".

Po opanowaniu obozu tureckiego, znaleziono wielu brańców chrześcijańskich, szczególniej kobiet. Barbarzyńcy uciekając, mordowali bezbronnych niewolników.

Dnia 13 września wjechał król do Wiednia, zaproszony przez Starhemberga, nie bramą, która była spalona, ale przez wyłom w murze, który oświecono pochodniami.

Wysłuchał Mszy św. i „Te Deum laudamus". Lud, wojsko, załogi, biegło, całując króla Sobieskiego w ręce i w nogi, zwąc go zbawicielem jedynym.

Miasto dłużej nad kilka dni nie mogące się bronić, przedstawiało obraz smutnego zniszczenia; pałac cesarski prawie w gruzach, mury zeszczerbione od kul i w wielu miejscach zwalone, dużo domów zrujnowanych.

Król zjadłszy obiad u komendanta miasta, opuścił Wiedeń, dostrzegł jednakże z boleścią, że ludowi zabroniono wznosić okrzyki na jego cześć. Mimo to lud odprowadzał bohatera do bramy, w milczeniu wznosząc ręce do góry.

Dwa przysłowia pozostały w naszym języku po tej wyprawie króla Jana Sobieskiego, pierwsze: „z kordem a boso", bo chorągwie sławnych husarzy i pancernych, utraciwszy dzielne konie, dla braku paszy, pieszo i boso wróciły; drugie: „to tyle warto, co bić się za Wiedeń".

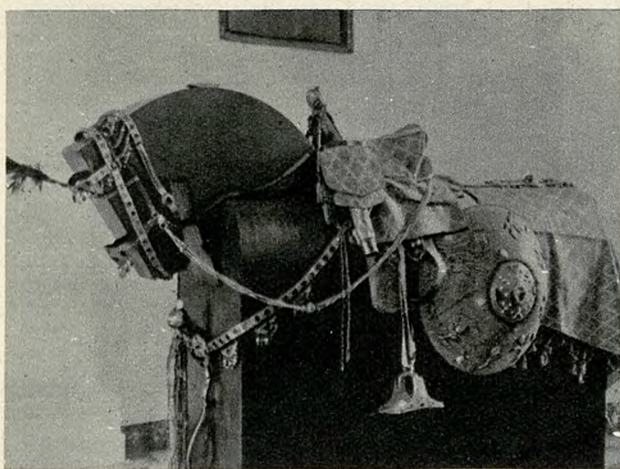
To drugie przysłowie odnosiło się do niewdzięczności, jaka spotkała króla Sobieskiego za uratowanie Wiednia ze strony cesarza niemieckiego i książąt niemieckich.

Drugie wspaniałe zwycięstwo odniósł Sobieski pod Parkanami. Wojska jego nękały epidemje. Wśród ciągłych utarczek, posuwał się król ku północy, zdążając do Koszyc. Ostatniemi etapami jego marszów są Eperies, Lubowla i Czorsztyn. Z Marysienką spotyka się Sobieski w Starym Sączu. W grudniu wraca do Krakowa, witany owacyjnie.

Ze starych kronik spisał ks. K. Dz.



Zamek w Podhorcach, wzniesiony w latach 1635—40 przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego, darowany w 1682 r. królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu. Podhorce są pełne pamiątek po Wielkim Królu, które z pieczołowitością przechowuje Roman Sanguszko, obecny właściciel zamku.



Rząd Marszałka w. koronnego Jerzego Lubomirskiego, własność hr. Potockich z Krzeszowic.

Z WYSTAWY PAMIĄTEK SOBIESKIEGO NA WAWELU.

CZY MIELIŚMY WŁASNĄ, OZDOBNĄ BROŃ I RZĘDY?

Przepysznie urządzona w szesnastu umiejętnie odnowionych i ozdobionych izbach Wawelskiego zamku, wystawa pamiątek wiążących się z Sobieskim, a zwłaszcza z wyprawy pod Wiedeń, ukazała nam, w jaki sposób dawne polskie rycerstwo ozdabiało swą broń, zbroje i rzędy. Wśród ogromnej ilości karabel, koncerzy, pałaszy, czapraków, siodeł, buńczuków, kolczug i karacen, może niejednemu ze zwiedzających nasunąć się zupełnie słusznie myśl, które ze zdobniczych pierwiastków przyszły ze wschodu, a które są nasze własne. Moda wschodniego przepychu przyszła do Polski głównie za Batorego, a odżyła za Sobieskiego po wyprawie wiedeńskiej. Mahometańscy Persowie i Indusi, podobnie jak Arabowie, unikający tradycyjnie wyobrażeń postaci człowieka, rozwinęli przepyszną sztukę ornamentalną, łączącą wzory geometryczne z roślinnemi, a inne mahometańskie ludy przyjęły ją niebawem, dodając, jak zwłaszcza Persowie, swe własne pierwiastki do wspólnego dorobku. Przy znanem zamiłowaniu, zwłaszcza semickich ludów do geometrji, sztuka ornamentalna osiągnęła taką wyżynę na Wschodzie, że nawet włoski renesans powtarzał wschodnie arabeski i maureski, czyli wypukłe i płaskie zdobnictwo. Polska położona między Wschodem i Zachodem, tu i tam czerpała wzory.

Właśnie Batory przekształcił konnicę polską, za wzorem tureckiej i tatarskiej, czyniąc ją lżejszą, mniej okutą w żelazne zbroje, ale zato zwinniejszą i ruchliwszą, tak, żeby mogla skuteczniej opierać się jeździe cudzoziemskiej. Nasza pancerna husarja skrzydlata zawdzięcza właściwy początek Batoremu, tak, że ten właśnie król dał podstawę pod sławne zwycięstwa pod Kircholmem i Kłuszynem, Chocimem i Wiedniem. Zamiast wysokich, ale niezgrabnych siodeł o długich strzemionach, za Batorego przyjęto u nas wschodnie kulbaki, lekkie a wysokie, które dawały możność swobodnego władania bronią ponad koniem. Lepsza do ciosu krzywa szabla wschodnia, która dała się we znaki jeszcze rycerzom krzyżowym, od czasów Batorego w zupełności zastąpiła proste miecze, a każdy dobrze uzbrojony konny miał prócz krzywej szabli przytwierdzony z boku do siodła prosty koncerz, rodzaj cienkiej długiej szpady, którą mógł sięgnąć dalej niż krzywą szablą.

Przy rzędach końskich polskich spotykamy podobne jak przy wschodnich ozdoby, wisiorki, okucia, „buńczuki pod gardło koniowi", czyli końskie ogony w ozdobnych oprawach, zawieszane przy uździe pod szyją i t. d. Trzeba mieć wielką wprawę, by odrazu odróżnić broń czy rząd na konia wschodni od polskiego. Nie wystarcza tu stwierdzenie pewnych ornamentów zachodnich, gdyż wiadomo, że na dworze sułtanów pracowali nieraz artyści obcy, a zwłaszcza włoscy, tak, że np. znajdujące się w muzeum X. Czartoryskich w Krakowie prześliczne szachy z hebanu i perłowej macicy, ofiarowane hetmanowi Sieniawskiemu przez sułtana, są włoskiej roboty. Jeżeli zbada się wielką ilość broni i rzędów, to stwierdzi się pewną grupę wzorów, bardzo wytwornych i starannie wykonanych, nie spotykanych poza Polską, więc ustalić można z całą pewnością, że jest ona naszą własną. Znany badacz dziejów Lwowa, Władysław Łoziński, ogłosił pracę o ormiańskich złotnikach lwowskich, z której wynika, że we Lwowie było ich bardzo wielu, podobnie jak hafciarzy, którzy ozdabiali też kołczany, czapraki, siodła i rzędy na konie, co wyjaśnia u nas pochodzenie tych wzorów osobnej grupy w rodzaju wschodniej.

W sali obecnej wystawy na Wawelu, mieszczącej dawne zabytki kościelne, jest cały szereg szat o wzorach opartych na ornamentyce wschodniej, co do których zwykle się mówi, że są porobione z czapraka Sobieskiego, a w rzeczywistości będących dziełem właśnie tych ormiańskich hafciarzy.

Głównym celem każdej wystawy zabytków jest nietylko uczczenie przeszłości i zapoznanie szerszego ogółu z danym okresem, ale użyczenie uczonym sposobności do porównania i zbadania zabytków i wyciągnięcia nowych wniosków dla nauki. Dotąd nie było u nas jeszcze wystawy, któraby ukazała tyle przedmiotów z zakresu naszej dawnej broni, rzędów itd., co obecna, a tem samem któraby tak przyczyniła się do postępu i wiedzy.

Ks. dr. T. Pomian Kruszyński.



Rząd turecki, zdobyty pod Wiedniem przez Przesława Szembeka. Własność hr. Marji Szembekowej z Siemianic (woj. pozn.).

Zbroja husarska z dwoma skrzydłami. Własność starosty Doellingera w Tarnowie.

NA ODPUŚCIE W PIEKARACH.



Biskup polowy ks. Gawlina wygłasza kazanie na uroczystościach ku czci króla Sobieskiego w Wielkich Piekarach.



Orlice czesko-słowackie w pochodzie w Piekarach.

Jadę do Piekar na Śląsku, aby zobaczyć uroczystości ku czci Sobieskiego, zorganizowane z racji 250-lecia jego zwycięstwa pod Wiedniem. Ludzi co niemiara, przeważa młodzież obojga płci, która przewala się po ulicach, napełniając je wrzawą i zgiełkiem.

Widzi się także stroje ludowe i żałuje, że należą już one do przeszłości.

Największy ścisk koło kościoła, gdzie mieści się cudowny obraz Matki Boskiej, przed którym modlił się Sobieski. Piekary należały wówczas do Austrji, a kościołem zawiadywali OO. Jezuici. Dnia 20 sierpnia zjawił się w Piekarach Jan III poprzedzony przez Karczewskiego, oboźnego królewskiego. O godzinie 8-mej całe Błonia pod Piekarami napełniły się husarją i wojskiem, które rozbiło namioty. Król pomodliwszy się przed obrazem ruszył dalej do Tarnowskich Gór, gdzie pożegnał się z Marysieńką.

Pamięć pobytu zwycięzcy z pod Wiednia w Piekarach jest tam dotąd żywa. Miasto chlubi się tym faktem.

Do kościoła trudno się dostać, bo nieprzeliczone morze głów zalało całą ulicę. Upał jest wielki, w gospodach odchodzi więc piwo, woda sodowa i lemonjada. Prawie w każdym lokalu widzi się duże wywieszki: z napisem:



Czoło defilady na ulicy Marjackiej. W dali kościół, w którym znajduje się obraz Matki Boskiej.

„Dasz na pomp, stracisz kundmana". Próbuję przetłumaczyć to na polskie.

Aha: dasz na kredyt, stracisz klijenta. Bardzo słusznie! Widocznie na Śląsku panują takie same zwyczaje, jak i w Warszawie. Ja jednak niestety nie biorę na pomp, tylko płacę gotówką.

Gdy odjeżdżam, auto moje opada na skrzyżowania gromada bachorów. Jest ich może ze dwudziestu. Każdy wyciąga z zanadrza trzy pomarańcze i ofiarowuje je za złotówkę. Jest to towar szmuglowany z Niemiec, którego rozsprzedażą trudnią się dzieci bezrobotnych.

Wymowny znak czasu i łamania przez życie rozporządzeń, które są nieżyciowe. **L.**

PIECHOTA POLSKA POD WIEDNIEM

Pod Wiedniem walczyła nietylko husarja, jak się to powszechnie przypuszcza, ale także piechota, która składała się z 20 pułków i była podzielona na 8 brygad. Oto wykaz tych pułków:

BRYGADA PRAWEGO SKRZYDŁA.

BRYGADA I.

Ernesta Donhoffa, Kasztelana Wileńskiego Generała Leytnanta.

1. Pułk tegoż Donhoffa. Pułkownik Bernfeyer.
2. Pułk. Królewicza Jakóba. Pułk: Otto Seswegier.

Brygadę tę Królewską nazywano.

BRYGADA 2.

Stanisława Morsztyna, Chorążego Zatorskiego.

3. Pułk tegoż Morsztyna. Pułkownik Gerard Tygenhoff. Major Krystyan.
4. Pułk Wacława Szczuki Stolnika Wiskiego, Pułkownik Weretycz.

BRYGADA 3.

Eljasza Łąckiego, Chorążego Ziem Pruskich.

5. Pułk tegoż Łąckiego. Pułkownik Franciszek Lanckoroński, Starosta Stobnicki.
6. Pułk Wacława Leszczyńskiego Wojewody Podlaskiego, Pułkownik Tobiasz Knobelsdorf.

BRYGADA 4.

Fryderyka Grebena.

7. Pułk tegoż Grebena, Podpułkownik Gutry.
8. Pułk Jabłonowskiego Hetmana W. K. Pułk.: Berens.
9. Pułk Krasińskiego, Referendarza Koronnego, Pułkownik Zorowski.

BRYGADY LEWEGO SKRZYDŁA.

BRYGADA 1.

Pułkownika Butlera, Starosty Bydgoskiego.

10. Pułk tegoż Butlera.
11. Pułk Kątskiego, Generała Artyleryi.

BRYGADA 2.

Jana Denemarka, Pułkownika.

12. Pułk tegoż Denemarka. Podpułkownik Sakien.
13. Pułk Potockiego, Kasztelana Krakowskiego.
14. Pułk Lubomirskiego.
15. Pułk hr. de Maligny. Pułkownik Kożuchowski.

BRYGADA 3.

Tomasza Zamoyskiego, Kasztelana Halickiego.

16. Pułk tegoż Zamoyskiego, Pułkownik Dobczyc.
17. Pułk Gnińskiego, Wojewody Czerniechowskiego, Podpułkownik Frank.

BRYGADA 4.

Pułkownika Kreuzera.

18. Pułk Wielopolskiego, Kanclerza W. Kor.
19. Pułk Sieniawskiego, Hetmana Polnego Koronnego. Pułkownik Asferus.
20. Pułk Donhoffa, Wojewody Pomorskiego.

Artylerją dowodził Kątski, Kasztelan Lwowski — Pułkownikiem tego oddziału był Fink, Majorem Rudkowski.

BIAŁY KRÓL W ŁAZIENKACH.

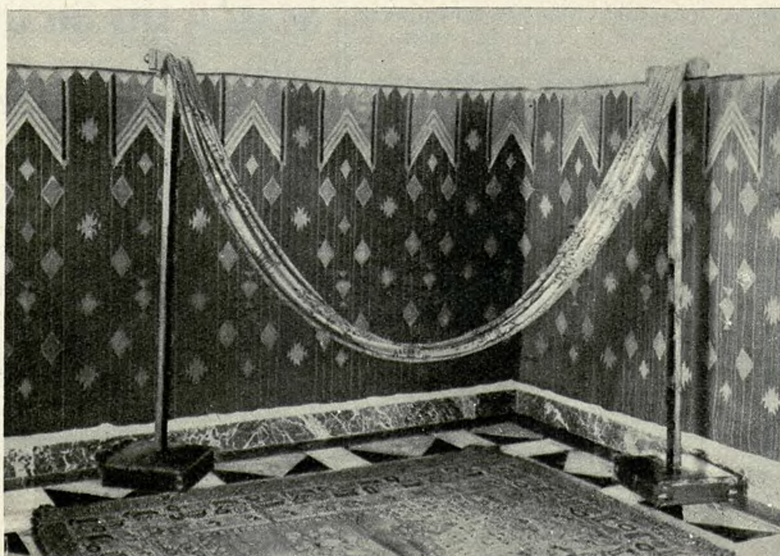
W parku Łazienkowskim w Warszawie wznosi się konny pomnik Sobieskiego, dzieło Franciszka Pincka z roku 1788. Pod pomnikiem tym zebrali się spiskowcy w pamiętną Noc Listopadową w 1830 roku i stamtąd wyruszyli na Belweder. Obecnie pomnik ten jest gruntownie odrawiany.

PŁASZCZ SOBIESKIEGO FRANCUSKIEGO ORDERU ŚW. DUCHA.



W dolnej izbie wieży Zygmunta III na Wawelu, oglądamy w związku z wystawą po Sobieskim, jego orderowy płaszcz, nadesłany mu przez Ludwika XIV w tym okresie, gdy strał się on pozyskać naszego króla dla swej polityki przeciwko stronnictwu cesarskiemu. Wiadomo, że rycerze krzyżowi jako swój znak przyszywali na piersi krzyż ze sukna, który obok właściwego habitu, określonej barwy i formy, przyjęły zakony rycerskie powstałe w owych czasach. Nosili je też tercjarze, czyli członkowie świeccy, związani z danym zakonem. Prócz krzyża na piersiach przyjęły dane stowarzyszenia inne odznaki, jak łańcuchy napierśne z danem wyobrażeniem. Panujący różnych państw ustanawiali także zaszczytne stowarzyszenia, stając na ich czele. Nazwa Ordo (skąd order), przeszła ze stowarzyszenia na samą odznakę, tak że dziś zapomina się, że odznaka jest tylko zewnętrznym znakiem przynależności do danego zaszczytnego zespołu. Jak wiele innych zabytków, płaszcz Sobieskiego zabrany po upadku powstania listopadowego przez wojska rosyjskie, oddany został na mocy traktatu w Rydze. Na tym przepysznie wyszywanym płaszczu widzimy po stronie lewej wspomniany krzyż, który dał początek gwieździe orderowej. Niestety łańcuch doń należący już się nie zachował.

ŁOŻE KRÓLEWSKIE.



W królewskiej sali obecnej wystawy na Wawelu podziwiają zwiedzający nielada jaką osobliwość, którą jest polowe łoże Sobieskiego, będące w rzeczywistości nie jakiemś wygodnem łóżkiem składanem, ale tylko rodzajem hamaka ze zwykłej grubej tkaniny bawełnianej, jaki z łatwością można było, przy szybkich pochodach bez wozów, zwinąć i przytwierdzić do siodła. Ozdoba polega jedynie na malowidłach po jednej stronie czarną barwą w umiarowe wzory późnobarokowe. Czas złagodził nieco czarną barwę wzorów, a samej tkaninie, pierwotnie białej, nadał piękny, lekko brązowy odcień. Zabytek ten jest własnością Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, które dzięki zapobiegliwości księżnej Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, zgromadziło wiele pamiątek po królach, jeszcze zgórą przed stoma latami, to jest w czasach, gdy w Polsce istniały tylko skarbce kościelne, ale nie było żadnego świeckiego muzeum. — Słyszymy, a na obecnej wystawie i widzimy, jak przepyszne przedmioty, dywany, skrzynki, zastawy i t. d. znaleziono w obozie tureckim pod Wiedniem, jak okazałe były tureckie namioty i łoża dostojników, gdy Polacy mieli tylko ozdobną broń i rzędy, to jest to, z czem rycerz występował do bitwy, o własnej wygodzie zupełnie nie myśląc. Wojsko pod dowództwem króla przebyło przestrzeń z Krakowa do Wiednia w pięć dni, a więc z taką szybkością, na jaką nie zdobyło się żadne inne wojsko, nietylko w pochodzie na wroga, ale i w odwrocie. Łoże Sobieskiego przypomina dziś, z jak wielkiem zaparciem znosił on trudy wojenne jako rycerz, a potem jako hetman i król. Przykład wodza wiele znaczy. Własne wygody za nic sobie mając, z niesłychaną szybkością uderzał on na wroga wtedy, gdy za smutnej pamięci swego poprzednika, brak większych sił nie pozwalał mu na staczanie regularnych bitew. Te właśnie przymioty, obok głębokiej wiedzy i zalet ducha, wyniosły go na tron królewski.

POMNIK KRÓLA SOBIESKIEGO WYKONANY W SREBRZE.



Rzeźba prof. Jana Raszki, wykonana w srebrze, na zamówienie cesarza Franciszka Józefa na nagrodę cesarską dla zwycięzcy w wyścigach oficerskich b. armji austr.-węg. w Krakowie, w 225-lecie rocznicy oswobodzenia Wiednia. W statuetce uderza nie tylko majestat w postaci króla, ale i charakterystyka polskiej rasy konia, odmienna od konwencjonalnie barokowych ujmowań konia królewskiego na różnych obrazach.

(Dokończenie ze str. 28-ej).

złoto. 150 tysięcy kilogramów takiej wiecznie błyszczącej stali pochłonął olbrzymi dom Chryslera w Nowym Jorku.

Może trochę za często i za pochlebnie mówimy o dziwach techniki, ale cóż poradzić na to, że twórczość współczesna w tej właśnie dziedzinie jest najżywsza i — jak się zdaje — najbardziej chyba fascynująca. Pisma angielskie podają właśnie podobiznę pewnego piętnastoletniego chłopca, który uratował życie ludzkie. Przechodził przez most kolejowy i spostrzegł, że ktoś leży na szynach. Puścił się pędem w stronę stacji, ale czuł, że mu sił zabraknie, że nie zdąży przed pociągiem. — „Znam się trochę na mechanice — mówił dziennikarzom — pomagam nieraz ojcu w garażu... Sam nastawiłem semafor, zmieniłem światło na czerwone i — pociąg stanął..."

Takim bystrym i spostrzegawczym sympatycznym chłopcem musiał być ongiś — zmarły niedawno Sir Henry Royce — wielki twórca motorów. Jeszcze w czternastym roku życia roznosił depesze, jako goniec, już w roku dwudziestym sam zakłada przewodniki elektryczne. Trzydzieści lat temu założył słynną firmę, która zdobyła rozgłos w całym świecie — fabryka motorów Rolls-Royce.

Jego świetne maszyny były najszybsze na lądzie, na wodzie, w powietrzu. Umarł w siedmdziesiątym roku życia, ale pracował twórczo do ostatniej chwili, szkicował coraz dzielniejsze, coraz bardziej zdumiewające silniki. Doprowadził do tego, że jego niezmordowany koń mechaniczny ważył mniej niż funt!...

Pisma nazywają go Stephensonem naszych czasów. Ale ludzie uznają dziś wynalazców jeszcze tylko w filmach kostjumowych.



„... miłość, to upojenie..."

WYKORZYSTANY POBYT.

— Czy mogę siedzieć w lokalu tak długo, aż spożyję to, co zamówię?
— Ależ oczywiście!
— W takim razie proszę o gumę do żucia...

ZDOLNOŚĆ.

— Czy potrafiłabyś mnie pokochać? — zapytał szef swą młodą sekretarkę.
— Dlaczego nie, skoro potrafiłam się w czterech tygodniach nauczyć stenografji!

Handel.



— Co, 10 złotych za ten kapelusz? Wart najwyżej dwa, daję panu pięć...!

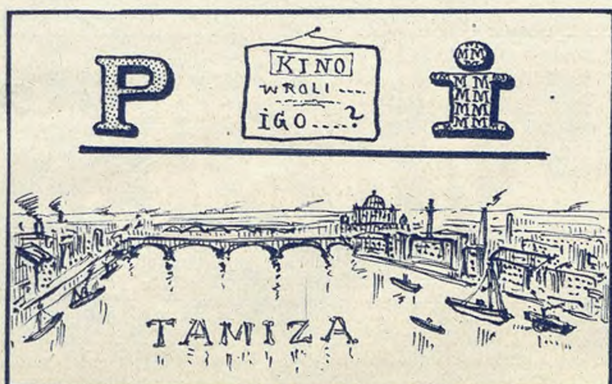
Ostrożny.



— Cóż to? Boisz się, że ci ktoś skradnie parasol?
— Nie, że go właściciel rozpozna...

REBUS.

Z. Tietza.



SZARADA.

(Ułoż. „HAK" czł. hon. Warsz. Kl. Szar.).

Raz-siódmą złudną odpędźmy wreszcie,
Że **raz-dwa-trzecia** postępu znamię;
Że klęskę wzmaga — z życia wzór bierzcie,
Iluż bo ludzi istnienie łamie!
Któż **czwarte-dziesięć raz** bezrobocie,
Co jest jak **szósta-pierwsza** zdradliwa,
W którą wpadają tysięcy krocie?...
Krzyk się olbrzymi ginących zrywa.
O straszna, codzień **pięć-jedenasta**
Rąk ludzkich z martwym jakimś „robotem",
Twórcą niedoli wioski i miasta'...
O **siódma ósma, ty władasz młotem,**
Choć tyś nie **druga-trzecia** ze stali,
Lecz tnie ją **pierwsza-druga i trzecia,**
Jak **ósmą-siódmą** z drzew leśnych bali,
Doskonalona wciąż przez stulecia.
Że **dziewięć-trzecia** nikt nie zaprzeczy,
Że na dziesiątki obstoi ludzi,
Ale jej rozpęd gnębi, kaleczy,
Jak **druga-szósta** gada wstręt budzi!
Niech pomocnicą będzie, nie panem,
Niech się nie staje mordów narzędziem,
Potem, krwią, łzami ludu zalanem —
A ją pochwalę pieniem łabędziem...

Za rozwiązanie niniejszych dwu zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

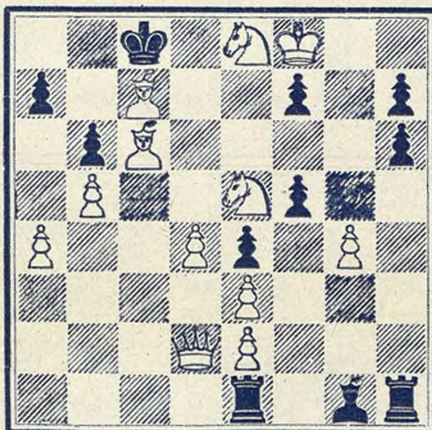
Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 16 września 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

DZIAŁ SZACHOWY

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

D. Przepiórka („Narodni Politika" 1932).

Czarne: Kc8, We1 h1, Gg1 ,piony: a7, b6, e4, f5, f7, h7, h6 (11).



Białe: Kf8, Hd2, Gc6 c7, Se5 e8, piony: a4, b5, d4, e2, e3, g4 (12).

3-chodówka 12+11=23.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki D. Przepiórki: 1. G—f3 (grozi 2. H—c3 i 3. S—d6×); **I.** 1... G—h2, 2. H—d3 G×e5, 3. H×f5×; **II.** 1... W—c1 2. H×c1 i 3×; **III.** 1... f6 2. H—a2 i 3×.

PARTJA.

Białe: **H. Carlsson** Czarne: **O. Kinnmark**

o mistrzostwo Szwecji w Lund w r. b.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6
2. S—f3 g6
3. Sb—d2 G—g7
4. e4 d6
5. c3 0—0
6. G—c4 **(1)** Sb—d7
7. e5 d×e5
8. d×e5 S—g4
9. e6 Sd—e5
10. e×f7+ K—h8
11. H—e2 G—f5 **(2)**
12. h3 **(3)** G—d3 **(4)**
13. S×e5!! **(5)** G×e3 **(6)**
14. S×g6+ h×6
15. h×g4+ G—h6
16. W×h6+! K—g7
17. K×e2 K×h6
18. S—e4+ G—g7? **(7)**
19. G—f4 W×f7 **(8)**
20. G—e5+ G—f8
21. W—h1 K—e8
22. G×f7+ K×f7
23. S—g5+ K—e8
24. W—h8+ K—d7
25. W×d8 W×d8
26. G×c7 **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Posunizcie, zastosowane w Paryżu przeciw Drowi Tartakowerowi.
(2) Dr Tartakower grał 11... e6 i szybko przegrał.
(3) Solidniejszem było 12. S—d4.
(4) 12... S—d3+ 13. G×d3 G×d3 14. H—e6
(5) Bardzo ciekawe zaofiarowanie H.
(6) 13... S×e5 14. G×d3 S×d3+ 15. K—d1 W×f7 16. K—c2!
(7) Więcej szans dawało 18... g5, gdyż po 19 S×g5 Czarne mogły się bronić grając K—g6. Jednak i po 18... g5 Białe wygrywałyby grając: 19. f4 H—d6 20. f5+ K—g7 21. G—f4! H—c6 22. G—e5+ K—h6 23. S—f3! H×c4+ 24. K—f2 H×g4 23. W—h1+ H—h5 24. G—f4+.
(8) 19... e6 20. W—h1! K×f7 21. G×c7!! z wygraną dla Białych.

Rozwiązanie z Nr. 34.

Szarada: MA-RA-BU-TY.

Rebus: Kryzys wszechświatowy wymaga niezwłocznie rozwiązania.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 34 nadesłali:

M. Jagusiński, Kraków; „Erka", Warszawa; Malwina Kozubska, Kraków; ks. L. Klementowski, Tarnopol; A. Marynowski, Łódź; Cz. Kozłowski, Warszawa; Eug. Petrynowski, Kutno; dr. H. Opielińska, Środa; „Bebe"; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Marja Szewiakowa, Wilno; Z. Pieracki, Wilno; J. Tyblewska, Poznań; Włodz. Szafrański, Poznań; Miecz. Gębczak, Kraków; Ala Hauschildowa, Nowy Targ; M. Łabużek, Kraków; Z. Tietz, Warszawa; **Kat. Lenczowska, Łagiewniki (zł. 20.—)**; „Wilnianin", Dubno; Al. Majerowicz, Rzeszów; Stan. Mikowska, Warszawa; J. Mazierz, Ozorków; J. Lenartowska, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; Anton. Bachmanówna, Katowice; Anna Loeglerowa, Stanisławice; Alfr. Świtkowska, Lwów; „Rozmaryn z Wilna"; Jadwiga Lisowa, Kraków; W. Gąsiorowicz, Łęczyca; Maryla Szczyrbakówna, Kraków; Helena Ulanowska, Włochy; Ewa Brzozowska, Warszawa; Stanisława Kozacz, Dębniki; Józef Kudyk, Kraków; J. Bielenia; Stefan Leracz, Poznań; Z. Golcówna, Inowłódź; Alina Szybińska, Warszawa; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Miecz. Romanowicz, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; „Erka", Warszawa; Danuta S., Luboml; Józef Szczurek, Łagiewniki; H. Łabaj, Małe Bronowice; Irena Zabieglińska, Pabjanice; Zula Gołuchowska, Janów; Marja Baworowska, Sorocko; Grzegorz Biernacik, Raciborowice; Ludwik Jasiński, Kutno; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Wojciech Ciepiela, Kraków; por. W. Rytko, Warszawa; Stan. Degner, Warszawa; **Roman Dergiman, Wilno (zł. 10.—)**; Władysława Gajowa, Poznań; „Niezapominajka", Warszawa; „Tuberoza", Warszawa; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; L. Ciesielski, Warszawa; Sława Haydukówna, Poznań; Z. Cegielska, Poznań; Inż. J. Modrzejewski, Lublin; L. Siuda, Poznań; Z. Szutowiczowa, Postawy; „Jot-Ge", Warszawa; L. Pogoda, Jaworzno; P. Kaniak, Tarnopol; Kazimierz Lilpop, Warszawa; Jawna Kowalska, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; Jadwiga Skudlarczykówna, Poznań; J. Stefańczyk, Pabjanice; **W. Kortylewicz, Poznań (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1 — 31 października 1933)**; Marja Strubel, Warszawa; J. Zaleska, Lwów.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Katarzynę Lenczowską, Łagiewniki (zł. 20.—), Romana Dergimana, Wilno (zł. 10.—) i Wiktora Kortylewicza, Poznań (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 października 1933).

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

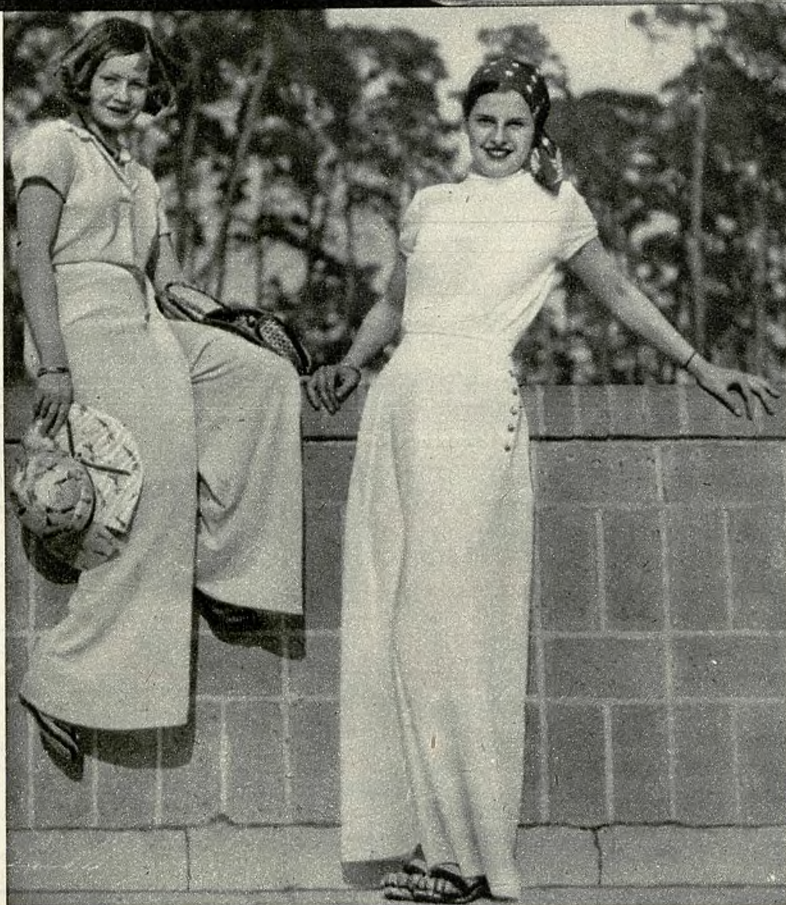
KUPON Nr. 37 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 9-go września 1933 roku.*

pożegnanie lata.

Zimny wiatr i chmury zakrywające nam złociste blaski słońca, zwiastują, że przeszliśmy już pełnię lata i zbliżamy się szybkim krokiem ku jesieni. Tym obserwacjom naszym towarzyszy nieodmiennie co roku wielki i szczery żal za wszystkiem, co nam lato przynosi w darze. A więc za zielenią i bogactwem kwiatów w ich niezliczonych kolorach, za rozsłonecznionym błękitem, otulającym ziemię w bajeczny klosz, pod którym jakże dobrze pławić się w gorących promieniach słońca, dla nabrania życiodajnych sił na długie miesiące zimy.

A ponad wszystko żal nam tej bezbrzeżnej swobody, jaką daje lato. Swobody nietylko towarzyskiej i zawodowej, bo tę możemy mieć i w zimie, ale swobody stroju, która pozwala powietrzu i słońcu przeniknąć poprzez nasze lekkie ubiory, co hartuje nas i pozwala czuć się tak lekko i beztrosko! Tego nie da nam żadna inna pora roku w naszym klimacie!

Więc z żalem patrzymy na przeciągające chmury i obserwujemy z niepokojem kierunek wiatru, idącego coraz bardziej ze wschodu i północy, niosącego w swych podmuchach pierwsze oznaki jesieni — chłód i opadanie zważonych liści delikatniejszych drzew.



Wracamy do miasta, pakując letnie sukienki! Ach, jakże nam żal!

Wygodna pyjama z taniego perkalu, która tyle usług oddawała na wsi i nad morzem, idzie na samo dno walizy. Nieprędko teraz ujrzy światło dzienne. Beztroskie chwile, spędzane w obcowaniu z naturą, nikną już w oddaleniu od wsi. Emocje rzecznej kąpieli, łowienie ryb... już wszystko jest poza nami. Trzeba żyć nową nadzieją, z myślą o tej radości życia, jaką nam przyniesie może każda pora roku. Jesień coprawda najmniej, ale też uważamy ją tylko za okres przejściowy do białej zimy, która roztacza przed nami tysiące możliwości pokrzepienia sił życiowych.

A tymczasem, wchodzimy w okres astrów i chryzantem i ich głębokiej zadumy, która pozwala nam zreasumować plon radości lata i poczynić przygotowania na sezon śnieżnych rozkoszy i na powitanie księcia karnawału!

J. Z.

ZIEMIA BEZ KOBIET.
WŚRÓD MNICHÓW NA GÓRZE ATHOS.


Cudowna Ikona Chrystusowa w klasztorze na górze Athos.

Niedaleko wybrzeży Grecji o kilkanaście zaledwie mil od Salonik, wyłaniają się z lazurowych fal morza Egejskiego przepiękne wzgórza Athosu, prastarej ojczyzny całego społeczeństwa mnichów prawosławnych, osiadłych tu od wielu już wieków. Jedyny ten w swoim rodzaju zakątek słynie z jeszcze jednej niezwykłej osobliwości — nigdy nie stanęła na nim stopa kobiety.

W 20 klasztorach Athosu przeszło 7.000 mnichów ze wszelkich możliwych narodowości bałkańskich pędzi nabożny żywot, odcięci zupełnie od reszty świata, rządząc się własnemi prawami — własną tradycją, od setek lat ugruntowaną, wybierając sobie władze naczelne, t. zw. św. Synod, najwyższą instancję tego dziwnego państwa. Powstanie tych klasztorów datuje się jeszcze z czasów cesarstwa bizantyjskiego i pierwszy został założony przez cesarzową Helenę, matkę Konstantyna.

Athos jest dla prawosławia niemal tem, czem Lhassa dla buddyzmu i dotarcie do tego sanktuarjum bizantyjskiego bynajmniej nie jest rzeczą łatwą — nie ze względu na komunikację, gdyż z Salonik codziennie odchodzą wygodne statki — lecz z powodu niezliczonych formalności, związane z uzyskaniem prawa wstępu lub czasowego pobytu. Wydaje się, jak gdyby mnichom chodziło o przepuszczenie turystów przez rodzaj czyśćca — różnych urzędów celnych i policyjnych, by ich tym sposobem wpuścić na świętą ziemię, obmytych ze wszystkich grzechów doczesnego świata.

Oglądane z okrętu wzgórza Athosu nie wyglądają na groźną ziemię ascetycznych klasztorów. Przeciwnie, przepyszne kontury malowniczych skał porosłych bujną zielonością, nęcą oko rozmaitością barw, niczem rajskie wyspy mórz południowych. Szczególnie o wschodzie lub zachodzie słońca widok ten naprawdę jest niezapomniany.

Po godzinnej jeździe, statek dobija do Daphne, maleńkiego portu Athosu i tu odrazu rozpoczynają się nieznośne formalności. A więc w pierwszym rzędzie zjawiają się żandarmi, skrupulatnie sprawdzają paszporty, przepustki, specjalnie wydane z Salonik oraz rewidują bagaże. Potem przechodzi się pod badawczym wzrokiem brodatego o patrjarchalnym wyglądzie „Serdari" (specjalny zakonny policjant), który znów powtarza czynności żandarmów, lustrując podróżnych, by przypadkiem nie przedostała się pod przebraniem jakaś niedyskretna niewiasta na zakazaną dla płci pięknej ziemię. Ale i na tem nie koniec — należy jeszcze uzyskać dodatkowe specjalne pozwolenie na zwiedzanie klasztorów w świętym Synodzie, którego siedziba mieści się w Karyais, o dwie godziny konno od portu położonej miejscowości.

Turyści, bardzo zwykle liczni, najczęściej drogę tę odbywają na mułach, które łatwo wynająć można razem z przewodnikiem w Daphne. Droga a raczej wąska ścieżka, wężowo wije się wśród skał. Miejscami przesuwa się tuż nad brzegiem morza, później ostremi serpentynami wznosi się wysoko i — zagłębia w prastare gaje kasztanów, niemal że dziewicze, nigdy nie trzebione lasy o różnobarwnem podszyciu.

W głębi lądu, zbliżając się do pierwszego z klasztorów, widać łąki i pola uprawne, na których liczne rzesze mnichów zajęte są pracą.

Lecz oto wyłania się z zieleni stolica Athosu, Karyais, miasteczko o wąskich średniowiecznych uliczkach, mające około 5.000 mieszkańców. W tem, jak na całym półwyspie, ani jednej kobiety i oczywiście ani jednego dziecka. Po obu stronach głównej uliczki ciągną się niewielkie sklepiki, których jedyny towar stanowią przeróżne dewocjonalja, przeznaczone dla turystów. Wszystkie wyrabiane są na miejscu przez mnichów i czasem odznaczają się prawdziwym artyzmem. Za ladami siedzą mnisi o długich brodach w powiewnych sutannach i w okrągłych charakterystycznych kołpakach na głowie, bowiem wśród społeczeństwa zakonnego, reprezentowane są wszystkie zawody. Są więc i kupcy, rybacy, rolnicy i rzemieślnicy. Wszystko, co mogą, produkują na miejscu dla swoich potrzeb. Część zaś wywożą do Salonik, tam sprzedając i kupując wzamian nieliczne zresztą niezbędne im towary.

Na głównym placu osady znajduje się nawet restauracja, również specjalnie dla przejezdnych przeznaczona.

Nad całem zaś miastem góruje największy na Athosie klasztor, siedziba św. Synodu, jak już wspomnieliśmy, najwyższej władzy, zarówno w kwestjach liturgicznych, jak i administracyjnych, składającej się z 20 obieralnych przedstawicieli wszystkich klasztorów, z których cztery najstarsze uzyskały przywilej wybierania wśród swoich członków przewodniczącego Synodu na jednoroczną kadencję. Poszczególne zgromadzenia mają swoją osobną administrację i pewną niezależność. Tylko najważniejsze sprawy idą pod obrady Synodu. Mnisi Athosu dzielą się na dwie zasadnicze grupy. Jedni o regule znacznie ostrzejszej, (cały rok muszą pościć, życie prowadzą wspólne, wspólnie pracują, jedzą i mieszkają w ogólnych salach, pozatem nie wolno im się wydalać poza obręb swego klasztoru). Natomiast drudzy, t. zw. idiorythmi z regułą znacznie łagodniejszą, poszczą tylko w specjalne dni, zajmować się mogą pracą dowolną, na własną rękę sprzedają swoje wyroby i tym sposobem bogacą się, mając również prawo opuszczać klasztor bez specjalnych zezwoleń. Mieszkają też każdy z osobna w pojedynczych celach.

Te ostatnie klasztory są rzecz prosta znacznie zasobniejsze i tem samem często pomiędzy obydwiema grupami wynikające tarcia, łagodzone dopiero przez św. Synod. Św. Synod też wydaje przepustki na zwiedzenie całego Athosu przybyszom. Odbywa się to ze wschodnią pompą i ceremonją. Turystów wprowadza się do wspaniałej sali tronowej w stylu starobizantyjskim, oszałamiającej wprost niezwykłym przepychem. Podłoga zasłana perskimi dywanami, ściany całe pokryte bezcenną mozaiką. W rogu wznosi się pod baldachimem złocony tron przewodniczącego Synodu, zwanego św. Epistatem.

Po chwili wchodzi na salę cała rada — przewodniczący zgrzybiały starzec zasiada na tronie i wówczas przybysze zbliżają się doń, każdy z osobna, całują rękę patrjarchy, otrzymując odeń błogosławieństwo. Patrjarcha zwykle uprzejmie wypytuje się przybyłych o ich zawód i cel wizyty. I tu raz zabawną historję miał jeden z dziennikarzy paryskich, gdy patrjarcha poprosił go o egzemplarz pisma, w którem pracuje. Biedny dziennikarz znalazł się rzeczywiście w kłopotliwem położeniu, gdyż sama tylko okładka jego pisma wystarczyłaby dla zgorszenia wszystkich mnichów Athosu. Wykręcił się jednak jak mógł, pisma oczywiście nie pokazał i otrzymał upragnioną przepustkę, opatrzoną czterema pieczęciami członków św. Synodu. Natychmiast po ceremonji tej obecni przechodzą do następnej sali, gdzie braciszkowie roznoszą na tacach napoje, zakąski i ciasta.

Każdy, kto otrzymał prawo pobytu na Athosie, staje się temsamem gościem wszystkich klasztorów, a mnisi słyną z niezwykłej gościnności. Na spotkanie przyjezdnych wychodzi zawsze przeor, wita uprzejmie, przez grzeczność dopytuje się o nowiny ze świata. Lecz widać, że w gruncie rzeczy wcale go one nie interesują. Jak wszyscy mieszkańcy tego półwyspu, uważa on Athos za jedyną oazę w powodzi zgnilizny moralnej świata. Ten brak zainteresowania się i ta pogarda dla rzeczy doczesnych jest zresztą zupełnie zrozumiała. Zakonnicy prowadzą tu życie jednostajne, od wieków niemal to samo. Cały dzień schodzi im na pracy fizycznej i na modlitwie. Pozatem nic ich nie ciekawi. Czasem tylko monotonję przerwie jakaś wiadomość o cudzie, który się wydarzył przed jedną z licznych ikon, a wówczas wspaniałe uroczystości, nabożeństwa i procesje trwają bez końca.

Gości jednak widzą chętnie i witają radośnie. Oprowadzają ich po wspaniałych świątyniach, pokazując z dumą bezcenne dzieła sztuki, gromadzone tu od stuleci przez wiernych.

Do najciekawszych i najbogatszych klasztorów Athosu należą poza stołecznem Karyais — Iwiron, Lawra i Watopen, wielkie kamienne budowle otoczone potężnemi, zębatemi murami. W wiekach średnich mury te broniły przeciw napadom piratów lub Saraceńców. Dziś upodabniają się te klasztory do fortec obronnych. A rzeczywiście było czego bronić. Każda cerkiew, to istny skarbiec, którego bogactwa wystarczyłyby na zrównoważenie budżetu niejednego państwa. Natomiast zabudowania i domy mieszkalne odbijają od tego przepychu niezwykłą skromnością. Dla gości tylko znajduje się bardziej okazałe pomieszczenie.

Po skończonem zwiedzaniu turystów zawsze zapraszają zakonnicy do obiadu przy wspólnym stole w refektarzu. Posiłki są proste, lecz obfite — przez cały czas obiadu panuje cisza, zmącona tylko jednostajnym głosem lektora, czytającego żywociorysy świętych. Po posiłku modlitwa i mnisi udają się do pracy. Wieczorem znów nabożeństwa i spoczynek. I tak mija dzień za dniem, zawsze jednakowo. Każdy klasztor żyje swojem własnem zamkniętem życiem, obojętny na potężne wydarzenia, wstrząsające światem. Toteż spędzenie kilku dni w takiej atmosferze i wśród tych ludzi jest prawdziwym odpoczynkiem. Lecz na dłuższą metę spokój ten nuży i z radością powraca się do życia. Czy natomiast stali mieszkańcy tej ziemi „bez kobiet" czują się szczęśliwi na swym skalistym półwyspie — trudno dačby odpowiedź. Dusze ich bowiem są tak nieprzeniknione, jak nieprzeniknione są grube mury klasztorów Athosu.

Szem.


Adoracja ikony.



SOBIESKI POD WIEDNIEM.

OBRAZ JANA MATEJKI, MALOWANY W 1880 ROK
WŁASNOŚĆ MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWI

film.

PANIENKA JAK MARZENIE.



Una Merkel jest dumną ze swojej nowej sukni. Suknia ta jest sporządzona z organdi i jest jakby wymarzona na ostatnie dni lata.

Metro Goldwyn Mayer.

FILM W BARWACH NATURALNYCH SZCZEPANIKA.

Problem kinematografji w barwach naturalnych zajmuje umysły wynalazców we wszystkich krajach świata od wielu lat. Brak bowiem barwy zmniejsza znacznie ilość efektów, jakich ona może nam dostarczyć — a przedewszystkiem razi nienaturalnością oglądanych obrazów — barwnych w rzeczywistości. Najsilniej odbieramy wrażenia zmysłem wzroku i kinematograf został też dla wzroku stworzony — dlatego też przedewszystkiem dbać o to powinniśmy, aby dostarczyć mu maksimum możliwych efektów.

Aby zdać sobie sprawę ze znaczenia barwy w zwykłym obrazie filmowym, wystarczy wyobrazić sobie jakiś piękny widok z natury, pozbawiony barw, np. zwykłą czarnobiałą fotografję przeniesioną w rzeczywistość, gdzie niebo, drzewa, kwiaty w różnych odcieniach szarzyzny oddają tylko rysunek konturów. Zwrócić należy uwagę na olbrzymie znaczenie barwy we filmach naukowych, krajoznawczych, zdjęciach z operacyj chirurgicznych, gdzie niejednokrotnie szczegóły stają się jedynie widoczne dlatego, że różnią się barwą.

Znany wynalazca polski, ś. p. Jan Szczepanik, rozwiązał w jedyny, bardzo pomysłowy, a przecież prosty sposób ten nadzwyczaj ważny problem. Syn jego i kontynuator prac ojca i spadkobierca jego myśli Zbigniew, wykończył ostatnio prace nad wynalazkiem i na nowo skonstruowanym projektorze wyświetlił niedawno w Warszawie film w barwach naturalnych, demonstrując go przed najtęższymi fachowcami zagranicznymi amerykańskich i niemieckich wytwórni, którzy specjalnie w tym celu do Warszawy przybyli. Opinje, oraz ich zainteresowanie świadczą o dużej doniosłości wynalazku, oraz pozwalają przypuszczać, że problem kinematografji barwnej — po tylu daremnych wysiłkach najcelniejszych głów—został wreszcie szczęśliwie rozwiązany, co przynosi nam jako Polakom ten zaszczyt, że dzieła tego dokonał nasz rodak.

W systemie Szczepanika efekt barwny uzyskany został pośrednio przez zastosowanie tak zwanej metody addytywnej. Zdjęć dokonywa się podobnie jak dzisiaj, na zwykłym materjale filmowym, przyczem koszty nie są wyższe od dzisiejszych, czem właśnie bije bezkonkurencyjnie wynalazek Szczepanika inne systemy, niemogące się nawet w przybliżeniu pochwalić efektami, osiągniętemi przez wynalazcę. Do wykonywania sposobu Szczepanika potrzebne są jedynie specjalnie skonstruowane aparaty do zdjęć, nieróżniące się napozór od zwykłych, oraz przystawki do zwyczajnych aparatów projekcyjnych. Przystawki te są proste w konstrukcji i tanie, oraz dają się w przeciągu krótkiego czasu dostosować do każdego aparatu kinematograficznego.



Zdjęcie przez trzy filtry.

Film Szczepanika jest napozór podobny do zwyczajnego, jest on bowiem czarnobiały, składa się jednak z obrazków, zdejmowanych przez tak zwane filtry barwne (np. przez szkło zabarwione na czerwono, zielono i niebiesko). Obrazki te wykazują pewne różnice w zaciemnieniu poszczególnych fragmentów, dobrze widoczne na reprodukowanym skrawku filmu. Różnice te warunkują właśnie powstanie barwy reprodukowanego przedmiotu. W projekcji bowiem rzucane są na ekran równocześnie trzy obrazki jeden na drugi i są one wyprojektowane światłem odpowiednio czerwonem, zielonem i niebieskiem. Jeżeli zatem przedmiot jakiś jest np. na obrazkach zielonym i niebieskim ciemny, a na czerwonym jasny, to tylko światło czerwone dostanie się w danem miejscu na ekran i w ten sposób powstanie czerwona barwa przedmiotu. Podobnie powstają i inne barwy, np. złożone z dwu barw zasadniczych lub nawet kolor biały, który, jak wiadomo, daje się otrzymać z trzech barw zasadniczych. Barwa żółta powstaje np. przez złożenie się na ekranie świateł (ale nie farb! — różnica między metodą addytywną a substraktywną) czerwonego i zielonego.

W dzisiejszym numerze „Światowida" reprodukujemy zdjęcie, uzyskane metodą Szczepanika. Ze względu na to, że do trójdruku używa się podobnie trzech klisz — przeto powstała możliwość reprodukowania drukiem obrazów filmowych Szczepanika. Wystarczy bowiem wykonać tylko z poszczególnych obrazków filmowych odpowiednie klisze drukarskie. Jest to pewnego rodzaju doświadczenie, gdyż mimo podobieństwa metod inne są wymogi techniczne druku (metoda substraktywna) a reprodukcji filmowej (metoda addytywna), ale spodziewamy się, że efekt — jakkolwiek nieodpowiadający efektom na ekranie — pozwoli naszym czytelnikom wyrobić sobie bliższe wyobrażenie o wynalazku Szczepanika, o wynalazku, któremu już nic nie stoi na przeszkodzie, aby praktycznie został eksploatowany.

Fantastyczne możliwości filmowe.

Inżynier, to istota traktowana przez ludzi Sztuki (przez duże S.) naogół z lekką pogardą i zgóry. Co taki wie o sztuce — to kamieniarz, skoczybruzda, czy ślusarz, ale do sztuki — nie — niech sobie obrabia swoje śrubki. A jednak film jest sztuką, (choćby się to nie podobało panom od dużego S), w której inżynier ma bardzo wiele do powiedzenia. Ośmielę się nawet twierdzić, że tylko taki reżyser może stanąć na wysokości swojego zdania, który ma w sobie techniczne zacięcie, który umie technicznie myśleć i posiada odpowiednią technicznie, przestrzenną wyobraźnię. Tylko taki reżyser potrafi wykorzystać nieograniczone możliwości techniczne i potrafi tworzyć ciekawe filmy. Nie twierdzę, że musi on mieć techniczne wykształcenie, nie, on musi posiadać tylko techniczne zdolności, „śrubki" nie mogą budzić w nim niechęci, musi wiedzieć, czego chce i czego może wymagać od swoich inżynierów, musi znać wszystkie techniczne możliwości filmu — aby był na miejscu jako kierownik „fabryki snów".

Tylko reżyser z przestrzenną wyobraźnią potrafi ruszać się odpowiednio wraz z aparatem, potrafi dać mu nietylko kółka ale i skrzydła, gdy zajdzie tego potrzeba. Wie czy obraz zdejmować wprost, czy z góry, czy z dołu, czy z boku i jak wykorzystać ruch i przestrzeń.

Pomijam tutaj świadomie problem tak dużej wagi, jak montaż filmu, którym przy odpowiedniem operowaniu można urabiać nastrój widza najbardziej dowolnie, można wywoływać w nim wszystkie uczucia od śmiechu do zgrozy. Chodzi mi tu tylko o te czysto techniczne możliwości, których wykorzystanie umożliwiają nowoczesne zdobycze filmowe.

Z tego punktu widzenia trudno mi traktować jako film taki np. obraz jak „Grand Hotel", czy „Człowiek, którego zabiłem". Co było w tych obrazach, czego nie moglibyśmy zobaczyć w teatrze? Nic poza zespołem aktorskim. Ale czy nato, żeby taką sztukę sfilmować, potrzebny jest ten cały kolosalny aparat, te wszystkie urządzenia, te miljonowe sumy? Nie będziemy przecież konstruowali 200-konnych samochodów dla jazdy po ulicach wielkiego miasta, nie będziemy budowali pałaców, by umeblować w nich — jeden pokój!

Prawdziwy film musi wykorzystywać wszystkie możliwości, jakie tkwią w tym cudownym wynalazku, a jak fantastyczne i nieograniczone są te możliwości, z tego sobie szeroka publiczność nie zdaje zupełnie sprawy. Ogląda często we wspaniałych wystawowych obrazach, jak walą się w gruzy całe miasta, jak płoną i toną olbrzymie okręty i zastanawia się, ile setek tysięcy kosztował ten „pożar", czy to „trzęsienie ziemi". — Dużo mniej, iż się nam to wydaje. Prawdziwe pożary i katastrofy są mało efektowne.

Taki np. świetny obraz jak „Atlantic", przedstawiający tragedję słynnego Titanica i zderzenie się jego z górą lodową, wraz z groźnem, niespokojnem morzem, z tonącemi na wysokiej fali łodziami ratunkowemi i z paniką przeszło tysiąca ludzi — wykonany był całkowicie w atelier, w niewielkim basenie. Z górą lodową wielkości — dużego kamienia zderzył się pięknie wykonany okręt wielkości kilku metrów, potężne fale i straszliwy huk uderzenia wykonali w basenie przy pomocy odpowiednich maszyn technicy wytwórni. A pozatem widzieliśmy pokłady, salony, kajuty, panikę, oglądaliśmy morze wzburzone i w następnym ułamku sekundy widzieliśmy już chwiejących się ludzi, ale nie widzieliśmy już morza i t. d. A całość wykonana tak świetnie, zmontowana z takiem mistrzostwem i precyzją, że napewno sama katastrofa Titanica nie wyglądałaby dla obojętnego widza (jeśliby się znalazł taki gagatek) bardziej prawdziwie i groźnie. Dupont umiał wykorzystać techniczne możliwości i stworzył iluzję, która dała nam wiele emocji.

A taka „Kobieta na księżycu"? Pamiętamy wszyscy duże wrażenie, jakie wywołał ten pomysłowy film, wraz ze swą wspaniałą, fotogeniczną rakietą kosmiczną, zbudowaną przy współpracy prof. H. Obertha, entuzjasty komunikacji międzyplanetarnej, który był uznanym fachowcem w tej dziedzinie, od wielu lat pracującym doświadczalnie i teoretycznie nad problemem samolotów rakietowych. Widzieliśmy ową olbrzymią rakietę kosmiczną, w której wnętrzu, poza całym szeregiem aparatów i urządzeń znajdowało się jeszcze kilka wygodnych pomieszczeń dla ludzi (kobieta była między nimi) w jej wspaniałym locie naokoło księżyca, widzieliśmy ją, jak startowała na ziemi, jak lądowała na księżycu — ale, gdy wychodzili i wchodzili do niej ludzie, to widzieliśmy tylko jej cząstkę. Czy ten potężny bolid był naprawdę tak wielki?

Pamiętam, oglądałem ten film we Lwowie i na programie byłem z kolegą moim, wówczas asystentem Politechniki we Lwowie, dziś jednym z najtęższych konstruktorów w Polsce (nie pogniewasz się Mieciu za tę reklamę?). Oglądaliśmy film z całem zainteresowaniem, rzecz prosta, szczegóły techniczne interesowały nas najbardziej. W pewnej chwili kolega mój chwyta mnie za rękę:

— Przypatrz się, tam po lewej stronie, widzisz, klapa zamknięta śrubkami ze „szlicem"!

— Wykluczone.

— No więc, przypatrz się dokładniej.

Istotnie, śruby, które sądząc z wielkości rakiety powinny były mieć przynajmniej po pół metra średnicy, posiadały „szlic", t. zn. można je było przykręcić takim zwyczajnym śrubociągiem, np. od maszyny do szycia. Świetny kawał. Były to zatem maleńkie śrubki, a tem samem model nie mógł być większy, jak półtora do dwu metrów. Pan Fritz Lang przeoczył ten szczegół, albo nie liczył się z tem, że model jego będzie oglądał tak świetny technik o tak bystrem spojrzeniu, jak kolega M. (Nie zapomnę Ci tej tej śrubki ze „szlicem").

Ale wrażenie, jakie wywołała rakieta było niezrównane i prof. Oberth zyskał szeroką popularność i nawet otrzymał grubsze sumy na swoje już rzeczywiste eksperymenty. Film sam zyskał duże powodzenie, bo pan Fritz Lang jest zdolnym reżyserem i posiada zacięcie techniczne.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że niepotrzebnie burzę złudzenia publiczności kinowej, ale zarzut taki byłby co najmniej śmieszny. Bo przecież dziecko tylko mogłoby przypuszczać, że tam naprawdę zderzył się okręt z półtora tysiącem ludzi na pokładzie z potężną górą lodową, że naprawdę dla zdjęcia tego narażano ludzi na śmierć. A już nawet dziecko nie będzie wierzyło, że zdrowo myślący ludzie pozwolili się wystrzelić na księżyc. A przecież miljony ludzi wychodzące z kin i tak zastanawiają się nad tem — jak oni to robią?

Cóż za kolosalne byłyby koszta takich budowli jak w „Grobowcu Indyjskim" czy „Władczyni Świata", gdyby je chciano budować „na prawdę"! Te wszystkie potężne zamki, świątynie, czy pałace o wspaniałych wnętrzach, to przeważnie umiejętnie zbudowane modele o wymiarach kilku czy kilkunastometrowych — umiejętnie fotografowane z odpowiedniem zastosowaniem perspektywy i luster. Rzeczywiście budowane są tylko poszczególne fragmenty i wnętrza. To są i tak wystarczające koszta. Ale budować całe miasta! To byłaby gruba przesada! Potężne „Metropolis", miasto przyszłości, stworzone fantazją pani Harbou i talentem Langa, po szerokich ulicach którego, pomiędzy drapaczami chmur latały aeroplany, możnaby, po skończeniu zdjęć, ustawić przypuszczalnie w pokoju dziecinnym i mógłby się niem bawić synek pani Harbou i pana Langa, gdyby go mieli i gdyby mu się nie znudziła zabawa tak niesolidnie i jednostronnie wykonanemi domkami.

Ale to wszystko to tylko jedna z bardzo, bardzo wielu możliwości właściwego wykorzystania filmu. Przy pomocy czarodziejskich właściwości filmu można tworzyć najdziwaczniejsze cuda i cudeńka, można tworzyć najpiękniejsze bajki z tysiąca i jednej nocy. Bo gdy przy boku reżysera stanie zdolny inżynier — to nie istnieją żadne trudności. Wytwory najbujniejszej fantazji stają się możliwe dla realizacji. Przecież wytwórnie zapowiadają już takie „niemożliwości", jak „Alicję w krainie cudów", jak „Podróże Guliwera" i to zarówno Guliwera wśród olbrzymów, jak i wśród liliputów; a już w najbliższym czasie zobaczymy „King Konga".

Czy to są granice możliwości filmowych?

Nie. To dopiero ich jedna strona, to dopiero jedna dziedzina. Brak miejsca nie pozwala mi poruszyć dzisiaj innych dziedzin, ale ja sobie tego nie podaruję, ja do tego jeszcze powrócę.

Aleksander

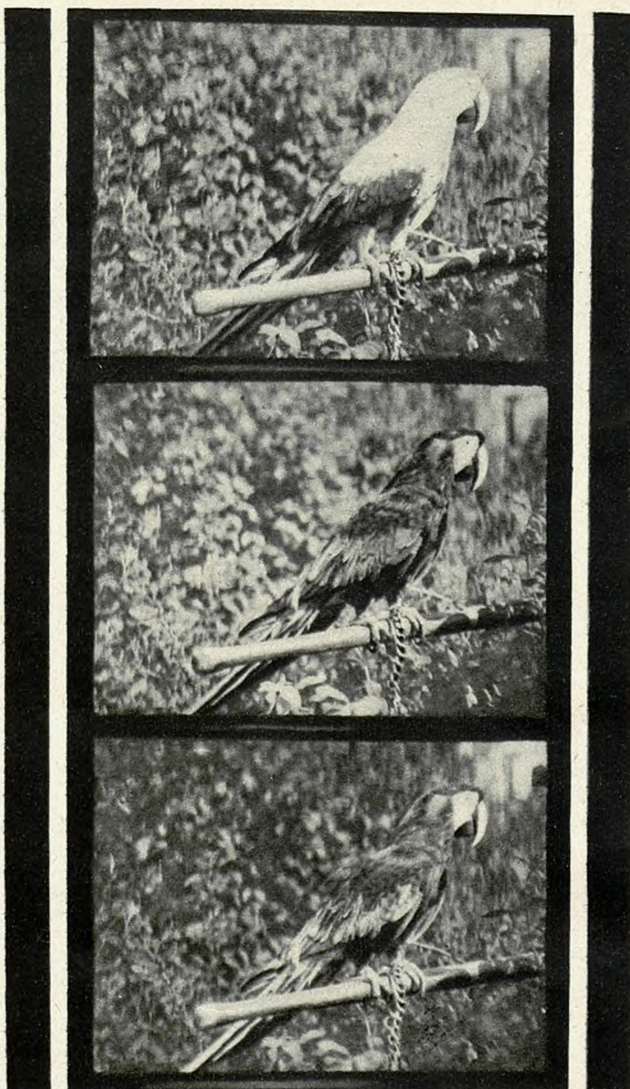
FILM W BARWACH NATURALNYCH SZCZEPANIKA.

Problem kinematografji w barwach naturalnych zajmuje umysły wynalazców we wszystkich krajach świata od wielu lat. Brak bowiem barwy zmniejsza znacznie ilość efektów, jakich ona może nam dostarczyć — a przedewszystkiem razi nienaturalnością oglądanych obrazów — barwnych w rzeczywistości. Najsilniej odbieramy wrażenia zmysłem wzroku i kinematograf został też dla wzroku stworzony — dlatego też przedewszystkiem dbać o to powinniśmy, aby dostarczyć mu maksimum możliwych efektów.

Aby zdać sobie sprawę ze znaczenia barwy w zwykłym obrazie filmowym, wystarczy wyobrazić sobie jakiś piękny widok z natury, pozbawiony barw, np. zwykłą czarnobiałą fotografję przeniesioną w rzeczywistość, gdzie niebo, drzewa, kwiaty w różnych odcieniach szarzyzny oddają tylko rysunek konturów. Zwrócić należy uwagę na olbrzymie znaczenie barwy we filmach naukowych, krajoznawczych, zdjęciach z operacyj chirurgicznych, gdzie niejednokrotnie szczegóły stają się jedynie widoczne dlatego, że różnią się barwą.

Znany wynalazca polski, ś. p. Jan Szczepanik, rozwiązał w jedyny, bardzo pomysłowy, a przecież prosty sposób ten nadzwyczaj ważny problem. Syn jego i kontynuator prac ojca i spadkobierca jego myśli Zbigniew, wykończył ostatnio prace nad wynalazkiem i na nowo skonstruowanym projektorze wyświetlił niedawno w Warszawie film w barwach naturalnych, demonstrując go przed najtęższymi fachowcami zagranicznymi amerykańskich i niemieckich wytwórni, którzy specjalnie w tym celu do Warszawy przybyli. Opinje, oraz ich zainteresowanie świadczą o dużej doniosłości wynalazku, oraz pozwalają przypuszczać, że problem kinematografji barwnej — po tylu daremnych wysiłkach najcelniejszych głów—został wreszcie szczęśliwie rozwiązany, co przynosi nam jako Polakom ten zaszczyt, że dzieła tego dokonał nasz rodak.

W systemie Szczepanika efekt barwny uzyskany został pośrednio przez zastosowanie tak zwanej metody addytywnej. Zdjęć dokonywa się podobnie jak dzisiaj, na zwykłym materjale filmowym, przyczem koszty nie są wyższe od dzisiejszych, czem właśnie bije bezkonkurencyjnie wynalazek Szczepanika inne systemy, niemogące się nawet



Zdjęcie przez trzy filtry.

w przybliżeniu pochwalić efektami, osiągniętemi przez wynalazcę. Do wykonywania sposobu Szczepanika potrzebne są jedynie specjalnie skonstruowane aparaty do zdjęć, nieróżniące się napozór od zwykłych, oraz przystawki do zwyczajnych aparatów projekcyjnych. Przystawki te są proste w konstrukcji i tanie, oraz dają się w przeciągu krótkiego czasu dostosować do każdego aparatu kinematograficznego.

Film Szczepanika jest napozór podobny do zwyczajnego, jest on bowiem czarnobiały, składa się jednak z obrazków, zdejmowanych przez tak zwane filtry barwne (np. przez szkło zabarwione na czerwono, zielono i niebiesko). Obrazki te wykazują pewne różnice w zaciemnieniu poszczególnych fragmentów, dobrze widoczne na reprodukowanym skrawku filmu. Różnice te warunkują właśnie powstanie barwy reprodukowanego przedmiotu. W projekcji bowiem rzucane są na ekran równocześnie trzy obrazki jeden na drugi i są one wyprojektowane światłem odpowiednio czerwonem, zielonem i niebieskiem. Jeżeli zatem przedmiot jakiś jest np. na obrazkach zielonym i niebieskim ciemny, a na czerwonym jasny, to tylko światło czerwone dostanie się w danem miejscu na ekran i w ten sposób powstanie czerwona barwa przedmiotu. Podobnie powstają i inne barwy, np. złożone z dwu barw zasadniczych lub nawet kolor biały, który, jak wiadomo, daje się otrzymać z trzech barw zasadniczych. Barwa żółta powstaje np. przez złożenie się na ekranie świateł (ale nie farb! — różnica między metodą addytywną a substraktywną) czerwonego i zielonego.

W dzisiejszym numerze „Światowida" reprodukujemy zdjęcie, uzyskane metodą Szczepanika. Ze względu na to, że do trójdruku używa się podobnie trzech klisz — przeto powstała możliwość reprodukowania drukiem obrazów filmowych Szczepanika. Wystarczy bowiem wykonać tylko z poszczególnych obrazków filmowych odpowiednie klisze drukarskie. Jest to pewnego rodzaju doświadczenie, gdyż mimo podobieństwa metod inne są wymogi techniczne druku (metoda substraktywna) a reprodukcji filmowej (metoda addytywna), ale spodziewamy się, że efekt — jakkolwiek nieodpowiadający efektom na ekranie — pozwoli naszym czytelnikom wyrobić sobie bliższe wyobrażenie o wynalazku Szczepanika, o wynalazku, któremu już nic nie stoi na przeszkodzie, aby praktycznie został eksploatowany.

Fantastyczne możliwości filmowe.

Inżynier, to istota traktowana przez ludzi Sztuki (przez duże S.) naogół z lekką pogardą i zgóry. Co taki wie o sztuce — to kamieniarz, skoczybruzda, czy ślusarz, ale do sztuki — nie — niech sobie obrabia swoje śrubki. A jednak film jest sztuką, (choćby się to nie podobało panom od dużego S), w której inżynier ma bardzo wiele do powiedzenia. Ośmielę się nawet twierdzić, że tylko taki reżyser może stanąć na wysokości swojego zdania, który ma w sobie techniczne zacięcie, który umie technicznie myśleć i posiada odpowiednią technicznie, przestrzenną wyobraźnię. Tylko taki reżyser potrafi wykorzystać nieograniczone możliwości techniczne i potrafi tworzyć ciekawe filmy. Nie twierdzę, że musi on mieć techniczne wykształcenie, nie, on musi posiadać tylko techniczne zdolności, „śrubki" nie mogą budzić w nim niechęci, musi wiedzieć, czego chce i czego może wymagać od swoich inżynierów, musi znać wszystkie techniczne możliwości filmu — aby był na miejscu jako kierownik „fabryki snów".

Tylko reżyser z przestrzenną wyobraźnią potrafi ruszać się odpowiednio wraz z aparatem, potrafi dać mu nietylko kółka ale i skrzydła, gdy zajdzie tego potrzeba. Wie czy obraz zdejmować wprost, czy z góry, czy z dołu, czy z boku i jak wykorzystać ruch i przestrzeń.

Pomijam tutaj świadomie problem tak dużej wagi, jak montaż filmu, którym przy odpowiedniem operowaniu można urabiać nastrój widza najbardziej dowolnie, można wywoływać w nim wszystkie uczucia od śmiechu do zgrozy. Chodzi mi tu tylko o te czysto techniczne możliwości, których wykorzystanie umożliwiają nowoczesne zdobycze filmowe.

Z tego punktu widzenia trudno mi traktować jako film taki np. obraz jak „Grand Hotel", czy „Człowiek, którego zabiłem". Co było w tych obrazach, czego nie moglibyśmy zobaczyć w teatrze? Nic poza zespołem aktorskim. Ale czy nato, żeby tak sztukę sfilmować, potrzebny jest ten cały kolosalny aparat, te wszystkie urządzenia, te miljonowe sumy? Nie bezpiecznie przecież konstruowali 200-konnych samochodów dla jazdy po ulicach wielkiego miasta, nie będziemy budowali pałaców, by umeblować w nich — jeden pokój!

Prawdziwy film musi wykorzystywać wszystkie możliwości, jakie tkwią w tym cudownym wynalazku, a jak fantastyczne i nieograniczone są te możliwości, z tego sobie szeroka publiczność nie zdaje zupełnie sprawy. Ogląda często we wspaniałych wystawowych obrazach, jak walą się w gruzy całe miasta, jak płoną i toną olbrzymie okręty i zastanawia się, ile setek tysięcy kosztował ten „pożar", czy to „trzęsienie ziemi". — Dużo mniej, iż się nam to wydaje. Prawdziwe pożary i katastrofy są mało efektowne.

Taki np. świetny obraz jak „Atlantic", przedstawiający tragedję słynnego Titanica i zderzenie się jego z górą lodową, wraz z groźnem, niespokojnem morzem, z tonącemi na wysokiej fali łodziami ratunkowemi i z paniką przeszło tysiąca ludzi — wykonany był całkowicie w atelier, w niewielkim basenie. Z górą lodową wielkości — dużego kamienia zderzył się pięknie wykonany okręt wielkości kilku metrów, potężne fale i straszliwy huk uderzenia wykonali w basenie przy pomocy odpowiednich maszyn technicy wytwórni. A pozatem widzieliśmy pokłady, salony, kajuty, panikę, oglądaliśmy morze wzburzone i w następnym ułamku sekundy widzieliśmy już chwiejących się ludzi, ale nie widzieliśmy już morza i t. d. A całość wykonana tak świetnie, zmontowana z takiem mistrzostwem i precyzją, że napewno sama katastrofa Titanica nie wyglądałaby dla obojętnego widza (jeśliby się znalazł taki gagatek) bardziej prawdziwie i groźnie. Dupont umiał wykorzystać techniczne możliwości i stworzył iluzję, która dała nam wiele emocji.

A taka „Kobieta na księżycu"? Pamiętamy wszyscy duże wrażenie, jakie wywołał ten pomysłowy film, wraz ze swą wspaniałą, fotogeniczną rakietą kosmiczną, zbudowaną przy współpracy prof. H. Obertha, entuzjasty komunikacji międzyplanetarnej, który był uznanym fachowcem w tej dziedzinie, od wielu lat pracującym doświadczalnie i teoretycznie nad problemem samolotów rakietowych. Widzieliśmy ową olbrzymią rakietę kosmiczną, w której wnętrzu, poza całym szeregiem aparatów i urządzeń znajdowało się jeszcze kilka wygodnych pomieszczeń dla ludzi (kobieta była między nimi) w jej wspaniałym locie naokoło księżyca, widzieliśmy ją, jak startowała na ziemi, jak lądowała na księżycu — ale, gdy wychodzili i wchodzili do niej ludzie, to widzieliśmy tylko jej cząstkę. Czy ten potężny bolid był naprawdę tak wielki?

Pamiętam, oglądałem ten film we Lwowie i na programie byłem z kolegą moim, wówczas asystentem Politechniki we Lwowie, dziś jednym z najtęższych konstruktorów w Polsce (nie pogniewasz się Mieciu za tę reklamę?). Oglądaliśmy film z całem zainteresowaniem, rzecz prosta, szczegóły techniczne interesowały nas najbardziej. W pewnej chwili kolega mój chwyta mnie za rękę:

— Przypatrz się, tam po lewej stronie, widzisz, klapa zamknięta śrubkami ze „szlicem"!

— Wykluczone.

— No więc, przypatrz się dokładniej.

Istotnie, śruby, które sądząc z wielkości rakiety powinny były mieć przynajmniej po pół metra średnicy, posiadały „szlic", t. zn. można je było przykręcić takim zwyczajnym śrubociągiem, np. od maszyny do szycia. Świetny kawał. Były to zatem maleńkie śrubki, a tem samem model nie mógł być większy, jak półtora do dwu metrów. Pan Fritz Lang przeoczył ten szczegół, albo nie liczył się z tem, że model jego będzie oglądał tak świetnie technik o tak bystrem spojrzeniu, jak kolega M. (Nie zapomnę Ci tej tej śrubki ze „szlicem").

Ale wrażenie, jakie wywołała rakieta było niezrównane i prof. Oberth zyskał szeroką popularność i nawet otrzymał grubsze sumy na swoje już rzeczywiste eksperymenty. Film sam zyskał duże powodzenie, bo pan Fritz Lang jest zdolnym reżyserem i posiada zacięcie techniczne.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że niepotrzebnie burzę złudzenia publiczności kinowej, ale zarzut taki byłby co najmniej śmieszny. Bo przecież dziecko tylko mogłoby przypuszczać, że tam naprawdę zderzył się okręt z półtora tysiącem ludzi na pokładzie z potężną górą lodową, że naprawdę dla zdjęcia tego narażano ludzi na śmierć. A już nawet dziecko nie będzie wierzyło, że zdrowo myślący ludzie pozwolili się wystrzelić na księżyc. A przecież miljony ludzi wychodząc z kin i tak zastanawiają się nad tem — jak oni to robią?

Cóż za kolosalne byłyby koszta takich budowli jak w „Grobowcu Indyjskim" czy „Władczyni Świata", gdyby je chciano budować „na prawdę"! Te wszystkie potężne zamki, świątynie, czy pałace o wspaniałych wnętrzach, to przeważnie umiejętnie zbudowane modele o wymiarach kilku czy kilkunastometrowych — umiejętnie fotografowane z odpowiedniem zastosowaniem perspektywy i luster. Rzeczywiście budowane są tylko poszczególne fragmenty i wnętrza. To są i tak wystarczające koszta. Ale budować całe miasta? To byłaby gruba przesada! Potężne „Metropolis", miasto przyszłości, stworzone fantazją pani Harbou i talentem Langa, po szerokich ulicach którego, pomiędzy drapaczami chmur latały aeroplany, możnaby, po skończeniu zdjęć, ustawić przypuszczalnie w pokoju dziecinnym i mógłby się niem bawić synek pani Harbou i pana Langa, gdyby go mieli i gdyby mu się nie znudziła zabawa tak niesolidnie i jednostronnie wykonanemi domkami.

Ale to wszystko to tylko jedna z bardzo, bardzo wielu możliwości właściwego wykorzystania filmu. Przy pomocy czarodziejskich właściwości filmu można tworzyć najdziwaczniejsze cuda i cudeńka, można tworzyć najpiękniejsze bajki z tysiąca i jednej nocy. Bo gdy przy boku reżysera stanie zdolny inżynier — to nie istnieją żadne trudności. Wytwory najbujniejszej fantazji stają się możliwe dla realizacji. Przecież wytwórnie zapowiadają już takie „niemożliwości", jak „Alicję w krainie cudów", jak „Podróże Guliwera" i to zarówno Guliwera wśród olbrzymów, jak i wśród liliputów; a już w najbliższym czasie zobaczymy „King Konga".

Czy to są granice możliwości filmowych?

Nie. To dopiero ich jedna strona, to dopiero jedna dziedzina. Brak miejsca nie pozwala mi poruszyć dzisiaj innych dziedzin, ale ja sobie tego nie podaruję, ja do tego jeszcze powrócę.

Aleksander

FILM W SOWIETACH

Trudności celne i konieczne ograniczenia cenzuralne dopuściły do nas znikomą tylko ilość filmów produkcji sowieckiej, i te nie mogły nam dać o tej produkcji najmniejszego pojęcia. Kilka dni temu trudności celne zostały zniesione a cenzura prawdopodobnie nie będzie surowszą, jak w innych krajach i obecnie stało się rzeczą aktualną zapoznanie się z ciekawą i ogromną produkcją sowiecką.

Rosja sowiecka posiada 160 miljonów ludności, — już w roku 1930 ilość widzów, chodzących regularnie do kina, była taka sama, jak w Stanach Zjednoczonych z ich 120 miljonami ludności. Około 60 miljonów ludzi odwiedzało kina tygodniowo. Dane sowieckie na rok 1932 podają fantastyczną liczbę 4 miljardów widzów na rok!

Ilość sal kinowych też narzuca ciekawe porównanie. Z końcem roku 1932 w Stanach Zjednoczonych było 19311 kin (w tem 6064 zamkniętych na skutek kryzysu). W Sowietach ilość kin urosła do 27570, w tem 14259 kin wędrownych, „ambulansowych", wędrujących od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, dających w najmniejszych dziurach przedstawienia, conajmniej co drugi dzień. W marcu 1933 roku ilość kin wzrosła już do 32000!

Zauważmy, że we Francji ilość kin wynosi około 4200, a odwiedza je rocznie około 200 miljonów ludzi. W Polsce ilość kin wynosi 749!!!

Ten kolosalny wpływ kina na masy (ilość widzów podwoiła się w przeciągu 4 lat!) skłonił rząd sowiecki do przyznania filmowi pierwszego miejsca z pośród wszystkich innych środków propagandy drugiej piatiletki.

Na rozwój tego przemysłu wyłożono olbrzymie sumy. Rozpoczęto prace nad konstrukcją najbardziej nowoczesnych ateliers, a nawet, aby uniezależnić się od przemysłu niemieckiego i amerykańskiego, rozpoczęto fabrykację taśmy filmowej. To ostatnie kosztowało około 100 miljonów złotych.

Wiadomo, że w Sowietach cała produkcja jest zetatyzowana, w filmie tak samo, jak wszędzie indziej. Jednak od czasu słynnego dekretu z roku 1919, który znacjonalizował całą produkcję filmową, sytuacja mocno się zmieniła. Dzisiaj istnieją dwa wielkie towarzystwa filmowe: Meżralopom i Sojuzkino. Studja istnieją w Baku, w Mińsku, w Tyflisie, w Nowosybirsku i w Kief na Ukrainie. Meżralopom jest w Moskwie, Sojuzkino w Moskwie i w Leningradzie. Ta ostatnia, najbardziej nowocześnie urządzona wytwórnia składa się z dziesięciu budynków, z których siedem jest w ten sposób połączonych, że w razie potrzeby mogą tworzyć jedno ogromnej wielkości studjo.

Co do samej produkcji filmów, to obszernych informacji udzieliła paryskiemu „Pour Vous" asystentka Pudowkina, Elżbieta Kolcowa. Wobec kolosalnego zapotrzebowania produkuje się w Sowietach około 950 filmów rocznie, (tyle wyprodukowano w roku ubiegłym), nie licząc w tem kronik, które odpowiadają naszym tygodnikom. W tej liczbie należy liczyć 300 wielkich filmów artystycznych, reszta to filmy „kulturalne", oświatowe, naukowe, dla dzieci i krótkometrażowe.

W ostatnich tygodniach Eisenstein ukończył nakręcanie „Moskwy", który to film, jest historją robotnika rosyjskiego od czasów feudalnych, aż do naszych dni. Jego asystent Aleksandroff nakręcił „Jazz", komedję, z artystką kabareto wą Leonidą Outessoff, ulubienicą publiczności rosyjskiej. Pudowkin wykończył „Dezertera", historję niemieckiego marynarza, który uciekł do Sowietów. Scenarjusz do tego filmu napisał Agadjanoff, słynny autor „Patiomkina". Niemiecki reżyser Piscator nakręca ostatnie sceny „Rewolucji rybaków" według opowieści Anny Seghers. Mikołaj Ekk, którego znamy z „Drogi do życia", realizuje obecnie film „Słowiczek, maleńki słowiczek", którego tematem jest emancypacja kobiety. Film ten wykonany będzie w kolorach, nową metodą rosyjską. Dowjenko, autor „Ziemi", o której już pisaliśmy w poprzednim numerze, realizuje film „Syberja", pracując wśród zlodowaciałych stepów. I wreszcie Trauberg, realizator wspaniałego „Błękitnego expresu" rozpoczął nakręcanie „Młodości".

To wszystko są filmy najznakomitszych i znanych nam reżyserów. Pozatem cały szereg dalszych reżyserów zajętych jest w wytwórniach.

Mamy wszelkie dane do przypuszczeń, że w nadchodzącym sezonie ujrzymy kilka doskonałych sowieckich obrazów. Dwa z nich są już dopuszczone i oglądaliśmy je nawet na pokazie.

AL.

ZE ŚWIATA

— — Wielką sensację wzbudziły przygotowania do zdjęć „Kleopatry", którą realizować będzie Cecil de Mille. Ma to być film, nakręcony z całym przepychem i wspaniałością, do jakiej przyzwyczaił nas Cecil de Mille we wszystkich swoich poprzednich obrazach. Rolę Kleopatry powierzono Claudette Colbert, uważając widocznie, że po roli Poppei w filmie „W cieniu Krzyża" ona jedynie nadaje się do ról bohaterek starożytnych. W roli Antoniusza wystąpi Frederic March. Rola Juljusza Cezara nie jest jeszcze obsadzona.

— —„Krew na arenie", słynny film, który był największym sukcesem Rudolfa Valentino, będzie nakręcony jeszcze raz w wersji dźwiękowej. Rolę Valentina obejmie, jak mówią, bardzo do niego podobny, Jack La Rue.

— — Nową sławą aktorską Ameryki jest świetny aktor charakterystyczny, Claude Rains, którego zobaczymy w najbliższym czasie w trzech obrazach. Są to: „Szary pokój" reżyserji Jamesa Whale, „Człowiek, który zgubił głowę" tego samego reżysera, i „Niewidzialny człowiek" też Jamesa Whale. W tym ostatnim filmie, nakręcanym według słynnej powieści Wellsa, Claude Rains będzie partnerem Glorji Stuart, a raczej na odwrót, ona będzie jego partnerką.

— — Jeden z niezależnych producentów amerykańskich, dotychczasowy współwłaściciel wytwórni R. K. O. Sam Jaffe rozpoczął realizację filmu o tendencjach antyhitlerowskich. Rozmaite komitety antyhitlerowskie przyrzekły mu wydatną pomoc finansową. Prawdopodobny tytuł tego filmu będzie brzmiał „Szaleniec". Zapowiedź ta wywołała duże zaniepokojenie wśród wszystkich zwolenników Hitlera.

— — „Już zawsze będziemy szczęśliwi" — to tytuł najnowszej komedji muzycznej, realizowanej przez M. E. Reinerta w studjach Pathe-Natan w Joinville, Jacques Pills, George Tabes, Kissa Kouprine i Ginnete Dorey, tworzą obsadę tego filmu, do którego scenarjusz i djalogi opracował E. Reiner i J. Aurial.

— — Słynny reżyser francuski Marcel Pagnol, rozpoczął realizację filmu, który dla zalet scenarjusza budzi powszechne zaciekawienie. Jest to film p. t. „Zięć pana Poirier". Główną rolę w tym filmie gra Leon Bernard, czołowa siła „Komedji Francuskiej".

— — W poprzednim tygodniu donosiliśmy o zaangażowaniu Annabeli i Charlesa Boyer do filmu „Bitwa" według opowieści Claude Farrera, reżyserji Turżańskiego. Obecnie Turżański skompletował już całą obsadę. Do tamtych czołowych aktorów dochodzi cały szereg wybitnych sił, z których najbardziej dla nas znani są Betty Stockfeld i Inkijnoff. Kierownikiem produkcji jest Pierre O'Connel.

SYLWJA SYDNEY W PARYŻU.

W stolicy Francji bawiła w przejeździe do Wenecji znakomita artystka filmowa Sylwja Sydney, o której w ostatnich czasach rozeszły się pogłoski, że zamierza się, z powodu uporczywej choroby gardła, wycofać zupełnie z życia artystycznego. Na dworcu oczekiwał Sylwję Sydney tłum wielbicieli, którzy wręczyli jej kwiaty. Nie brakło naturalnie natrętnych dziennikarzy, którzy dopraszali się o wywiady, pragnąc dowiedzieć się, jakie znakomita artystka snuje plany na przyszłość. Ale Sylwja odmówiła wszelkich wyjaśnień, oświadczając, że przedewszystkiem pragnie leczyć się.



Sylwja Sydney na dworcu w Paryżu.
Ag. Trampus — Paris



Przyzwyczajeni jesteśmy do najbardziej oryginalnych karjer gwiazd filmowych. Najbardziej nieprawdopodobne wydarzenia czynią przez jeden dzień przeciętną chórzystkę, lub tancerkę gwiazdą, o sławie międzynarodowej, której nazwisko znajduje się na ustach wszystkich. Podobnie rzecz ma się z najnowszą rewelacją Hollywood — June Knight.

Urodziła się w Madrycie. Była piątą córką doskonałego skrzypka operowego Tomasza Knight. Od najmłodszych lat pragnęła June dostać się na deski teatralne. Marzyła o karjerze tancerki, pragnąc w tańcu wyładować cały swój temperament żywiołowy, krępowany przez surowego ojca, oraz surowe zwyczaje panujące w Hiszpanji, które nie pozwalają młodej dziewczynie nawiązywać jakichkolwiek znajomości i udzielać się światu. Toteż coraz częściej wybuchają nieporozumienia w domu państwa Knight, coraz częściej June marzy o ucieczce z domu. Postanowienie to wprowadza wkrótce w czyn, uciekając do Nowego Yorku. Tu angażuje się do zespołu girlsów tańczących w nocy w jednym z kabaretów na Broadwayu. Piękna hiszpanka o lnianych włosach robi w krótkim czasie karjerę taneczną w kabarecie. Ma dopiero lat siedmnaście, a już cały Broadway staje przed nią otworem. Sukcesy w rewji nie cieszą jej. Pragnie dostać się do filmu. Lecz tam droga nie tak łatwa jak w rewji. Pięknych dziewcząt, pragnących dostać się do filmu jest legjon cały. Nawet o nazwiskach tak sławnych jak June. Rzuca ona kabaret i wstępuje do trupy aktorskiej Gravesa. Lecz tu pech ją prześladuje. Traci posadę, drogę do kabaretów ma zamkniętą. To też przez pewien czas jest bez engagement. Wkońcu wstępuje do innej trupy teatralnej i udaje jej się dostać główną rolę w dramacie „Grzech młodości". Nazajutrz jest sławną w New Yorku. Publiczność przyjęła ją entuzjastycznie. Talent jej aktorski z każdym dniem silniej się okazuje. Nie dziw więc, że wytwórnie filmowe, łowiące każdą sławę aktorską staczają istne boje o zaangażowanie June. Obecnie June znajduje się w upragnionem Hollywood, i ma pod reżyserją znanego reżysera europejskiego Duponta nakręcić swój pierwszy film. Przypuszczamy, że i na tem polu odniesie niemniejsze triumfy, jak na deskach teatralnych.

Rein.



JÓZEF WĘGRZYN. Ten świetny artysta Teatru Nar. w Warszawie, jaśnieje także talentem na ekranie. Dawniej grywał z powodzeniem amantów i bohaterów garsonier, obecnie przerzucił się do ról charakterystycznych. Na zdjęciu widzimy go, jako pasera w „Dziejach Grzechu“.

BRUNO WINAWER.

SCENARJUSZ FILMOWY.

Najmłodsza — i dlatego może najżywsza — ze sztuk widowiskowych sztuka filmowa szuka gorączkowo tematów na lądzie, na morzu, w powietrzu. Widzieliśmy już na srebrnych ekranach dramaty, które się rozgrywały pod wodą, pod ziemią, na wyspach bezludnych, w lasach dziewiczych i balonach. Aż kilku razem świetnych fachowców pracuje teraz nad trudnem zagadnieniem, jak właściwie pokazać widzom „człowieka niewidzialnego“ z pięknej fantastycznej powieści Wellsa, w filmie „King Kong“ ujrzymy podobno „świat zaginiony“ i potwory przedhistoryczne a także kolosalną małpę, która sięgać będzie głową do czwartego piętra zwykłej kamienicy. Jedna z wytwórni pracuje nad scenarjuszem „Nagana“, w którym będzie mowa o śpiączce afrykańskiej i groźnej musze tse-tse, roznoszącej zarazki tej strasznej choroby, jeden z milszych — dawniejszych — aktorów filmowych, Rod La Raque, grać ma w obrazie „S. O. S.! — góra lodowa“ i w tym celu udał się podobno aż do zimnej Grenlandji... A jednak...

Bywalcy kinowi spostrzegli już dawno, że najciekawszą bodaj rzeczą w programie jest t. zw. dziennik, są wiadomości i zdjęcia ze zwykłej kroniki, albo — jak mówimy dziś powszechnie — reportaż. Życie ma bujniejszą fantazję, niż najzdolniejsi libreciści, tworzy groteski i dramaty i zwykły fakt jest nieraz bardziej zdumiewający od zawikłanej akcji zmyślonej.

W Anglji żyje obywatel, niejaki p. Pyott, który jest nie o wiele wyższy od kuchennego stołka, mógłby siedzieć w cylindrze, jak w fotelu, staje chętnie na dłoni osoby dorosłej i waży dwanaście kilo. Ów najmniejszy człowiek świata, karzełek p. Pyott, ma lat 45 i w czasie wielkiej wojny był trzykrotnie powoływany pod broń. Możemy sobie wyobrazić przerażenie komisji poborowej.

W małej mieścinie angielskiej mieszka komandor Lightoller, który owego strasznego dnia — dwadzieścia lat temu, podczas katastrofy „Titanica“ — należał do sztabu oficerów nieszczęsnego okrętu, kierował akcją ratowniczą... „Każdy szczegół wrył mi się w pamięć na zawsze — opowiada dziennikarzom — nie zapomnę tych chwil strasznych do końca życia“... Ale komandor już dwa razy ulegał rozbiciu później, morza się nie boi i mimo podeszłego wieku, chce się wybrać za rok na własnym brygu na Ocean Indyjski. Podczas jednej z katastrof dostrzegł — jak mu się zdaje — jakieś szczątki statków pod wodą i chce wydobyć skarby piratów z głębin morskich.

W dramat wzruszający układają się losy świetnego pilota kapitana Lancastera. Oskarżony swego czasu w Ameryce o to, że zastrzelił kolegę-lotnika, następnie zwolniony, bo podejrzenia okazały się zupełnie niesłuszne, młody pilot wystartował niedawno z lotniska angielskiego do Kapsztadu... Chciał o tragicznych przejściach zapomnieć i zdobyć inny rozgłos, niż ten, który dają sprawozdania z sensacyjnych posiedzeń sądowych. Jeszcze kilkanaście dni temu pisma zamieściły jego fotografję: żegna się z ojcem przed wielką, niebezpieczną podróżą — — — Dziś te same pisma zamieszczają krótką notatkę: kapitan Lancaster zginął bez wieści, patrole francuskie szukają go na bezlitosnych piaskach Sahary, lotnicy wojskowi próbują odkryć jakiś ślad z wyżyn. Przepadł, nikt go nie widział od tygodni — miał z sobą zaledwie odrobinę żywności i wody. Gdzie go szukać na wydmie piaszczystej, która jest większa od Francji.

Epopeję radosną tworzą zato przygody śmiałych lotników, przydzielonych do wyprawy na Everest. Po dwóch brawurowych przelotach nad „dachem wiata“ kierownik ekspedycji doszedł do wniosku, że nie należy więcej wyzywać „złego ducha gór“, uznał prace przygotowawcze za skończone i postanowił odesłać aeroplany do Anglji. Jeszcze tylko jeden mały rekonesans trzeba było wykonać ostatniego dnia, jedno doświadczenie (zdjęcia „w promieniach pozaczerwonych“).

Ale piloci — nic nikomu nie mówiąc — napełnili tanki benzyną i — tak prawie jak stali — bez długich przygotowań, frunęli raz jeszcze wysoko nad szczyt Himalajów. Ten improwizowany, frywolny wzlot dał podobno niezwykle piękne fotografje i zdjęcia filmowe, operator Fischer zaciera ręce z radości, prace naukowe — geograficzne — teraz dopiero — dzięki niesubordynacji pilotów — przyniosły plon bogaty...

Oczywiście — wszystkie te dziwaczne zdarzenia i przygody mogłyby być tematem do scenarjusza filmowego. Trudniej już byłoby pokazać na ekranie rozbijanie atomów przez fizyków współczesnych — albo choroby „niewidzialne“, odkryte przez głośnego bakterjologa, profesora Nicola. — Kto wie też, czybyśmy uwierzyli w taką historję — nieprawdopodobną, a jednak prawdziwą. Lat temu kilka — w roku 1930 — pewien górnik-pasażer dojrzał przypadkiem z samolotu w Kanadzie północnej pas ziemi, który mu się wydał zajmujący i niezwykły. Wrócił w to miejsce — aż nad jeziorem Niedźwiedziem — i odkrył bogate pokłady pechblendy, z której wydobywamy najcenniejszy metal — radjum. Zajął się tem odkryciem uniwersytet w Toronto i dobroczynny rad wkrótce już będzie o wiele tańszy i dostępniejszy dla klinik nawet uboższych. Rad jest — jak wiadomo — bronią wypróbowaną w walce ze straszliwą, groźną chorobą — rakiem.

Skoro już mowa o walkach — w momenty dramatyczne obfituje zacięta wojna inżynierów współczesnych z rdzą. Technika dzisiejsza zużywa niesłychane ilości metali na maszyny, mosty, konstrukcje żelazne w budownictwie. Znaczną część tych mas metalowych zżera po pewnym czasie rdza — największy i podstępny wróg naszych budowniczych. Próbowano dawniej pokrywać powierzchnie metalowe farbą i stąd te grupki odważnych ludzi. zawieszonych wysoko nad miastem na arkadach mostu, na wieżycach wielkich gmachów — widujemy to nieraz w kinie. — Próbowano stal niklować, „parkeryzować“, aż wreszcie znaleziono pewien stop — stal nierdzewną i teraz wieże drapaczów nieba błyszczą, jak

(Dokończenie na str. 29-ej).